



POLITYCZNA PRZYSZŁOŚĆ ŚWIATA

STR. 7

DALSZE ŚLADY KOSMITÓW

STR. 8

ON SIĘ takim na ŚWIAT NIE PROSIŁ...

STR. 14



NIE ZGUBIĆ PRZESZŁOŚCI

STR. 5

POMARAŃCZOWA KOPERTA

STR. 9

ODGŁOSY

ROK XIX NR 3 (945)

15 STYCZNIA 1976 ROKU

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Ożywioną dyskusję wywołał artykuł Jacka Indelaka pt. „Barbarzyńca w szkole”. Także i w bieżącym numerze na ten temat zamieszczamy uwagi naszych Czytelników. Na zakończenie swej wypowiedzi Maria Bożek z Belchatowa zachęca redakcję „Odgłosów” do zorganizowania rozszerzonej dyskusji w sprawie metodyki nauczania, która jej zdaniem, w związku z nadchodzącą reformą szkolnictwa mogłaby być niezwykle interesująca. A co sądzą inni zainteresowani tym zagadnieniem?

Mniemamy, że wielu Czytelników mogą zaciekać rozważania Andrzeja Radzika nad możliwością rozwoju przyszłych stosunków międzynarodowych ze szczególnym uwzględnieniem ruchu robotniczego i komunistycznego. Polecamy także prześledzić w bież. numerze rozmowę z przewodniczącym Towarzystwa Przyjaciół Łodzi — Mieczysławem Woźniakowskim, którą przeprowadziła Bogda Madej.

Ulegając wielu prośbom Jerzy Wilmański zamieszcza ciąg dalszy „Okruchów losów”, omawiając niektóre sprawy, zasygnalizowane tylko, w poprzedniej publikacji nieco szerzej. Czytelnicy znajdą również drugą część relacji Bohdana Felta pt. Latające talerze: fikcja czy rzeczywistość?

Nie będzie przesady gdy powiemy, że prawie wszyscy telewidzowie z przyjemnością oglądali serial: „Dyrektorzy”. Na pewno więc z ciekawością przeczytają kilka uwag na marginesie tego serialu Jerzego Wawrzaka — „Dyrektorzy”, krytycy i publiczność. Poza tym Andrzej Błajer w dalszym ciągu zdradza tajemnice z działalności tajnego frontu, a Jerzy Czech opowiada o nowym państwie niepodległym — Ludowej Republice Angoli.

W bieżącym numerze „Odgłosów” drukujemy również wszystkie stałe pozycje: felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje oraz Magazyn, w którym polecamy szczególnie „Serię 06 nr 0660243” i „Korzyści wspólnego powrotu.”

ŁÓDŹ-76



FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA

Patrz str. 3



Zima 1945 roku była ostra. Dnie i noce były mroźne, padał śnieg. Takiego mroźnego dnia — 19 stycznia 1945 roku — do Łodzi przyszła wolność. Przynieśli ją radzieccy żołnierze. Dymyły zgłiszcza Radogoszcza. Pełno jeszcze było śladów hitlerowskiego panowania. Ale w sercach ludzi była już radość.

Na archiwalnych zdjęciach z tamtego czasu zachował się obraz placu Wolności. Radzieckie czołgi, żołnierze w kożuchach i tłumy łodzian. Twarze uśmiechnięte. Serdeczne powitanie tych, którzy przynieśli wolność.

To była radość z odzyskanej wolności, radość, jaką daje pewność, że ani dziś, ani jutro nie nie zagraża człowieczemu życiu, że skończył się koszmar okupacyjnej nocy. Wojna jeszcze trwała, ale wiadome już było, że wróg dogorywa, że broni się ostatkiem sił i choć zdolny jest jeszcze do zadawania ciosów, to nic go nie uchroni przed bezwarunkową kapitulacją.

Każdego roku w styczniu wracamy wspomnieniami do tamtych czasów, do owego styczniowego dnia, kiedy wraz z radzieckimi żołnierzami przyszła do Łodzi wolność. Wracamy myślą do tamtych dni nie tylko dlatego, że w życiu wielu z nas było to pamiętne wydarzenie, ale przede wszystkim dlatego, aby złożyć hołd tym, którzy za naszą wolność oddali życie. Pamięć o nich powinna trwać wiecznie.

Pamiętać powinniśmy również i o tych, którzy w pierwszych dniach wolności przystąpili do budowy nowego, niepodległego państwa. Wojna skończyła się 9 maja 1945 roku, ale wojna wewnętrzna, wojna między starym i nowym trwała jeszcze długo. I ta wojna również pochłonięła ofiary. Zginęli w bratobójczej walce ludzie, którzy całym swoim życiem opowiedzieli się za nową, ludową Polską.

Tamte, pamiętne dni, pierwsze dni wolności, to dla jednych wspomnienia, dla innych — już tylko historia. A jest to historia nie tylko walki — również pracy. Kraj wyszedł z wojny zniszczony. Potrzeba było węgla, stali, cementu, drzewa, ubrań, zboża. Z pierwszą pomocą pośpieszyły narody ZSRR. Łódzkie fabryki otrzymały radziecką bawełnę. Ekipy łódzkich robotników towarzyszyły radzieckim i polskim oddziałom i wyszukiwały maszyny i urządzenia wywiezione przez okupanta z fabryk Łodzi.

Ze zrozumienia potrzeb kraju narodził się w Łodzi WYŚCIG PRACY. Hasło młodych łódzkich robotników podjął cały kraj. Dziś wielokrotnie nawiązujemy do tego hasła, do idei socjalistycznego współzawodnictwa, które zrodziło się w tamtych czasach, u początku naszej historii.

Wracamy w styczniu każdego roku do wspomnień z tamtych pamiętnych dni również i dlatego, aby móc tym wyraźniej ocenić drogę, jaką przebyliśmy w ciągu 31 lat, aby dokonać bilansu tego wszystkiego, co w tym czasie zrobiliśmy w Łodzi.

Dalszy ciąg na str. 3

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

15 LUTEGO
REFERENDUM NA KUBIE

Rząd Kuby przyjął ustawę o przeprowadzeniu powszechnego referendum nad projektem nowej konstytucji Kuby, który był zaprzeczony na niedawnym Zjeździe Komunistycznej Partii Kuby. Referendum odbędzie się w niedzielę 15 lutego bieżącego roku.

W TYM ROKU
PONAD DWA TYSIĄCE

Od chwili założenia w lipcu 1959 r. ośrodka lotów kosmicznych na Przylądku Canaveral na Florydzie, bazy tej wystąpiło 197 rakiet kosmicznych. Podaje te informacje rzecznicznicy NASA komunikując, że w tym roku zostanie przekroczona liczba dwa tysiące startów na tym przylądku. Przewiduje się wchodzenie w życie różnych artykułów konstytucji po jej uchwaleniu.

ZAPAS NA 25 KM

W Łódzkiej Wytwórni Urządzeń Komunalnych WUKO przygotowuje się dwa prototypy piaskarki. Będzie to kolos 11-metrowy zabierający jednorazowo 16 ton mieszanki używanej do walki z zanieczyszczonymi jezdniami oraz gołolodzie. Taki zapas mieszanki wystarczy na posypanie starych 25 km jezdni o szerokości 16 m.

WZNOWIENIE ROZMÓW SALT

W Moskwie podano do wiadomości, że na mocy porozumienia wziętego, rozmowy między delegatami ZSRR i USA w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych zostaną wznowione w Genewie w dniu 28 stycznia br.

POLSKA WYPRAWA W
SUDANIE

Po raz jedenasty w Sudanie rozpoczęła pracę polska ekipa archeologiczna. Między innymi a czwartą kataraktą na Nilu w rejonie starej Dongoli, archeolodzy pod kierownictwem B. Jakobińskiego, poszukują nadal zabytków starożytności Nubii.

KOMITET
MIEDZYNARODOWEGO
FUNDUSZU WALUTOWEGO
ZAKOŃCZYŁ OBRADY

W Kingston na Jamajce zakończyły się dwudniowe obrady tzw. Tymczasowego Komitetu Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W obradach brał udział 29 ministrów finansów wysoko rozwiniętych krajów kapitalistycznych i krajów rozwijających się. Po zakończeniu obrad opublikowano komunikat stwierdzający, iż po 2 latach trudnych negocjacji zdołano osiągnąć porozumienie w sprawie reformy międzynarodowego systemu walutowego.

Z komunikatu wynika m. in. 12 państwa członkowskie MFV będą mogły zaciągnąć pożyczki w wysokości zwiększonej o 45 proc. w porównaniu do dotychczasowych. Postanowiono również utworzyć specjalny fundusz dla pomocy krajom ubogim o dochodzie nie przekraczającym 351 dolarów na jednego mieszkańca rocznie. Fundusz ten będzie początkowo zasłany przez sprzedaż złota z rezerwy MFV i dobrowolnie dotąd państw członkowskich. Na publicznych aukcjach ma zostać sprzedanych 25 mln uncji złota, a sumy uzyskane w ciągu 4 lat będą przekazane krajom rozwijającym się.

FESTIWAL CHÓRÓW
POLONIJNYCH W KOSZALINIE

Trwająca przygotowania do III Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych, który co trzy lata odbywa się w Koszalinie. W tym roku impreza, w której udział wzięli 15 chórów z 12 państw: Stanów Zjednoczonych, RFN, Kanady, Francji, Danii, Holandii i Czechosłowacji, odbędzie się w lipcu. Przyjazd do Polski zapowiadają ponad tysiąc rodzaków.

ZGON CZOU EN-LAJA

Agencja Sinhua opublikowała komunikat Komitetu Centralnego KPCh. Stałego Komitetu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych i Rady Państwa (rządu) CHRL, informujący, że 8 m zmarł w Pekinie na raka w wieku 78 lat premier Chińskiej Republiki Ludowej na Czou En-laj. Władze chińskie nie życzą sobie, żeby w uroczystościach pogrzebowych wzięły udział delegacje rządowe innych państw.

WIOSENNE TARGI LIPSKIE
W MARCU

Wiosenne Targi Lipskie, które w tym roku trwać będą od 14 do 21 marca, zgromadzą ekspozycję ponad 7 tysięcy wystawców z całego świata. Do dyspozycji ekspozytorów z 60 garaży pozostaje 350 tys. metrów kwadratowych powierzchni wystawowej.

Najliczniejszą reprezentowaną branżą będzie przemysł tekstylny i odzieżowy.

Ołóż — nie tak dawno zaprezentował już Czytelnikom „Odrębność” wiele, moim zdaniem, interesująca liczba: na przestrzeni ledwie jednego tygodnia nasz krajowy przemysł wytwarza produkty wartości 40 miliardów złotych. Obawiam się jednak, że w pojedynkę i ta licz-

OKO NA GOSPODARKE

Mistrz Stańczyk uważał, że wśród Polaków najwięcej jest lekarzy. No cóż, może tak i było, natomiast ja jestem skłonny twierdzić, że dziś poczesne miejsce w naszej nacji zajmują ekonomiści. Czy to dobrze, czy też może źle? Świat się „kręci” wokół spraw gospodarczych, wystarczy przeglądać pierwsze kolumny nie tylko naszych dzienników, przeanalizować pod tym kątem potok informacji płynących z aparatów radiowych i telewizyjnych i łatwo znajdziemy potwierdzenie dla takiej opinii.

Mamy jednak swoją prywatną teorię na ten temat, a składa się ona niejako z dwóch w pewnym sensie niezależnych, elementów. Tak więc — po pierwsze, uważam, iż najważniejszym powodem takiego stanu rzeczy jest nie innego jak głębokie przemiany ustrojowe, w świadomości społecznej, nie innego jak socjalistyczne stosunki produkcji, własności, w których to, co było jeszcze nie tak znowu dawno czyściej, stało się nasze, wspólne, za co razem odpowiadamy społecznie korzystając z tych wartości. Oczywiście zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że przemiany w świadomości to proces powolny, złożony, nie zawsze przebiegający w sposób idealny, zgodzić się jednak, że — sięgając tylko po najprostszą przykłady — bardzo wiele zmieniło się choćby w naszym... słownictwie. Mówimy „nasze osiedle”, mając w myślach nie tylko miejsce zamieszkania, lecz również ten oczywisty już dla każdego fakt, że jest ono wspólne, nasza własnością, wspólnie stworzona wysiłkiem rąk i społecznymi środkami materialnymi. Czemu to przypominam, dlatego ten przykładem się posłużyłem? Hm, jakoś tak się dzieje, że

ha niewiele w gruncie rzeczy mówi i dlatego sięgam po inne jeszcze tym razem porównanie: jeśli w roku 1970, dokładnie w październiku, i procent miesięcznej produkcji polskiego przemysłu przedstawiał wartość 992 milionów złotych, to dokładnie w pięć lat później już 1,815 milionów złotych. Co przez te dwie lata zamierzam uzasadnić? Otóż dosyć prosty fakt, a mianowicie „wagę”, a raczej ekonomiczną wymowę każdego jednego procentu, który składa się na nieporównywalną wprost podstawę, pozycję wyjściową do dalszego skoku. Cheemy bowiem zwiększyć rozmiar produkcji naszych polskich fabryk i zakładów o 1 bilion, osiągając w roku 1980 wartość wytworzonych przez przemysł towarów rzędu 3 bilionów złotych.

W tym miejscu chciałbym jednak dokonać pewnej „operacji”, po prostu przełożyć owe nieco abstrakcyjne biliony na pojęcia łatwiej przyswajalne. Ale nie tylko dlatego. Sądzę po prostu, że w polsku liczb często używanych przez ekonomistów przede wszystkim, lecz w równym stopniu także przez publicystów, gubią się treści zasadnicze, a przecież ten rozwój ekonomiczny progra-

sią za pomocą odmiennych nieco metody, aniżeli miało to miejsce w minionej pięciolatek. Upraszczając bowiem nieco można powiedzieć, że w latach 1971—1975 wzrost płac był przede wszystkim rezultatem wyrównywania narosłych dysproporcji, regulacji, podwyżek i temu podobnych decyzji, co — niestety — nie zawsze szło w parze z polepszeniem jakości pracy, z osiąganymi rezultatami. Inaczej ma się rzecz przedstawiać w latach 1976—1980, bowiem przyrost dochodów, płac powinien wynikać z wyższej wydajności jako podstawowego źródła zwiększonego strumienia pieniądza.

Tak to przynajmniej widzimy planując osiągnięcie wzrostu dostaw towarów na rynek o około 40—42 procent, a usług nawet o 60 proc. W tych ogólnych wskaźnikach mieszczą się takie pozycje jak dwukrotny wzrost produkcji samochodów osobowych, do 350 tys. wozów rocznie, zwiększenie dostaw, a więc i wytworzenia, sprzętu dla gospodarstw domowych — o ok. 70 proc., wreszcie podwyższenie rozmiarów produkcji wyrobów przemysłu lekkiego o 41—43 proc., czy też mebli o co najmniej — wszak będziemy mieli do czynienia z dynamicznym rozwojem budownictwa mieszkaniowego, a do tego dochodzi jeszcze popyt restrykcyjny — o jakieś 75 proc. No i to, co jest niezmiernie trudne, ale konieczne dla zrównoważenia sytuacji na rynku i... poprawy naszego samopoczucia: trzeba, byśmy zwiększyli rozmiary pro-

dukcji artykułów spożywczych o 35—37 proc.

Liczb, liczb, liczb. Chciałbym jednak zauważyć, że wzytując się w nie, należy sobie zakarbować w pamięci pewną prawdę nie we wszystkich zespołach produkcyjnych te materialne dobra uświadamiana. Nie tak dawno w Komitecie Łódzkim PZPR odbyło się spotkanie aktywów gospodarczego i partyjnego i właśnie wtedy podano do wiadomości ciekawą liczbę, a mianowicie wartość uznanych w ciągu roku reklamacji z tytułu tylko przemyśle lekkiego. Nie ma co ukrywać — kwota idzie w wiele, w bardzo wiele milionów.

I to jest niewątpliwie pierwszeństwo problemu, z którym równocześnie zwiększając rozmiary produkcji, musimy się w bieżącym pięcioletniu radykalnie rozprawić. Nie możemy sobie pozwolić na to, by bardzo poważna część produktów nominalnie przeznaczonych na rynek, traktowanych jako odpowiedź na zwiększony strumień pieniądza, trafiła do magazynów ze względu na ukryte wady, nie była akceptowana społecznie z racji na złą jakość, braki w estetyce, funkcjonalności, a nawet nitki zapotrzebowanie. Choć niektórzy mówią, że w naszym kraju wyschły już proste rezerwy, to każdy się chyba zgodzi, że jedną z najbardziej prostych jest osłabienie wyrażonej poprawy w jakości wyrobów, w rozumieniu, że nie zawsze duża ilość znaczy pełne zaspokojenie potrzeb, jako że but butowi nie jest równy, a tak ma się rzecz w przypadku niemal każdego towaru o charakterze konsumpcyjnym. Nie mniejszej wagi problem wydaje się być umiejętności wypełniania występujących przecież na rynku wewnętrznych liczących luk asortymentowych, których listę każdy z nas łatwo może sporządzić operując przy tym własnymi potrzebami z uwzględnieniem zasobności portfela, budżetu domowego. A przypomnieliśmy sobie, że małą są i one powiększyć.

Powiecie może: nie są to znowu tak bardzo nowe problemy, które stały przed naszą gospodarką w latach 1976—1980. No cóż — tym większa para, by się z nimi wreszcie uporządkować, przeskakując jeszcze jedną barierę rozwoju.

KRZYSZTOF POGORZELEC

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

CZWARTEK, 15. I. — program I:
18.30 — W popularnym cyklu publicystycznym „ANATOMIA SUKCESU” obejrzymy program o zakładzie, uznany za najlepszy w naszym przemyśle radiotechnicznym — ELTRA w Bydgoszczy. Co złożyło się na sukces?

19.30 — TV Teatr Sensacji wystawi premierowe widowisko współczesne pt. „OKOLICZNY SPRZYJAJĄCE”. Spektakl oparty jest na scenariuszu Henryki Morawa-Bogusławskiej; reżyserii podjął się Andrzej Maria Marczewski.
Program II:
18.05 — „NARODZINY IKARA” — reportaż filmowy o nowej, ciekawej dyscyplinie sportu, jaką jest lot na lotkach.
PIĄTEK, 16. I. — program I:
18.25 — W cyklu dokumentalnym „CZŁOWIEK I PRZYRODA” wyświetlony zostanie film hiszpański pt. „W DZIEWICZYCH LASACH WENTZUELI” o życiu zwierząt; reżyseria — Feliks R. de la Fuente (Kolor).

18.50 — Aktualne wydanie magazynu Łódzkiego Ośrodka TP „SEZAM”.
19.25 — „MOJ PROGRAM” — przedstawi widzowi telewizyjnej jedną z najpopularniejszych aktorek przedwojennego kina i teatru — ELŻBIETA BARCZEWSKA, związana z Teatrem Polskim w Warszawie.
22.35 — Transmisja z Mistrzostw Europy w jeździe figurowej na lodzie (Kolor).

SOBOTA, 17. I. — program I:
20.20 — Projekcja francuskiej komedii współczesnej pt. „DOWCI PNIS”.
22.05 — Uroczysty koncert muzyki i poezji w Sali Kongresowej z okazji 31 rocznicy wyzwolenia Warszawy.
Program II:
18.00 — „NIE TYLKO DLA HOBIBYSTÓW” — w popularnym cyklu publicystycznym poznamy zbiorę meo. Stanisława Tallkowskiego, warszawiaka z urodzenia, obecnie mieszkającego w Kujawach. Program nosi tytuł „W STYLU EPOKI”, poprowadzi go Krzysztof Klingner, redaktor naczelny „Kolekcjonera Polskiego”.
22.05 — Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie (Kolor).

NIEDZIELA, 18. I. — Program I:
18.25 — Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie — pokazy Mistrzów Europy (Kolor).
18.00 — „BITWA MORSKA” — w konwencji teleturletu.
21.25 — Teatr „Nieduży” Jeremiego Przybory zaprasza na „GOŁOLEDZ”.

Program II:
18.00 — Spiewają laureaci „ZŁOTEGO ORFEUSA”. Koncert Filowy Międzynarodowego Festiwalu

Piosenki w Złoty Piaskach (Kolor).
21.20 — W „Przeglądzie twórczości telewizyjnej Adama Hanuszkiewicza” przypomniany zostanie spektakl „ŚWIADKOWIE” wg Tadeusza Różewicza.

PONIEDZIAŁEK, 19. I. — program I:
20.25 — Teatr Telewizji wystawia spektakl premierowy „JOANNA” oparty na dokumentach, odchodzących od mitów i legendy.
21.20 — Projekcja dokumentalnego filmu pt. PAWIAK.
17.30—22.10 — Program II przedstawi „DZIEŃ SYRYJSKI”, który rozpoczyna program rozrywkowy pt. „MAGICZNE PIÓRO”, CZYLI SPRZEDAWCA „PACIORKÓW” Georgesa Achla, a kończy — sztuka teatralna Mahmouda Diaba „FORTEPIAN”.

WTOREK, 20. I. — program I:
17.00, 18.05, 18.50, 20.30 — Studio TV Młodych stawia pytanie: „CO DAŁEJ MATURZYŚCIE?” — program poprowadzi Jerzy Wunderlich. Studio TV Młodych pojawi się kilkakrotnie w ciągu wieczornego programu.
30.40 — Projekcja czechosłoweckiego dramatu społeczno-politycznego pt. „DNI ZDRADY”. (Wyróżnienie na MFF w Moskwie, 1973).

Program II:
16.55 — „EKRAN I PIÓRO” — program wg scenariusza Tadeusza Kraski. Spokojnie w studio TV z Jerzym Putnamem i Wojciechem Żukrowskim.
21.55 — W Klubie Filmowym wyświetlony zostanie węgierski dramat psychologiczny pt. „OZDROWIENIE”, reżyserii Mara Lutor (Kolor).

ŚRODA, 21. I. — program I:
18.20 — „ROSSINI BEZ AUREOLI” — program słowno-muzyczny, ukazujący mniej znane cechy charakteru kompozytora.
18.45 — W cyklu „SPOTKANIA Z MEDYCYNĄ” — nowa promocja Karola Lubczyka pt. „MOŻE I ŻYĆ”, z udziałem wybitnej autorytetów tej dziedziny medycyny.
20.25 — „DNI ZDRADY”, cz. II czechosłoweckiego dramatu społeczno-politycznego (Kolor).

Program II:
18.35 — Projekcja filmu telewizyjnego pt. „BARDO STARZY OBOJE”. Filmowa adaptacja opowiadania Kazimierza Brandysa w reżyserii Jana Rybkowskiego. Grają: Barbara Ludwiżanka i Kazimierz Opaliński.
21.00 — NORWEGIA — jako najbardziej morski kraj Europy stanowią temat programu z cyklu „MORSKIE OGNIWA”, opracowanego przez Zespół Szczeciński Telewizji Polskiej.

PRZYMIARKA DO XXI WIEKU

jeszcze nie wszyscy i nie zawsze owa tak istotna przemiana sobie uświadamiamy, co, mam nadzieję, nie pozostaje bez wpływu na stosunek do wspólnego, społecznego dobra, no i majątku.

Powiedziałem, że to byłoby po pierwsze, kolej więc na drugie. Tak, bo jest jeszcze coś innego, co trudno przecenić, a daje się to określić mianem edukacji ekonomicznej o bardzo szerokiej zasadzie, obejmującej właściwie każdego z nas nie tylko poprzez przybliżenie podstawowych prawideł, pojęć teoretycznych, lecz współdziałanie w zarządzaniu, wytworzeniu, gospodarowaniu.

I to wszystko jest najszersza sprawa, a przecież nie można się oprzeć wrażeniu, że przy tych całych ogromnych przemianach w umiejętnościach właściciel interpretacji zachodzących wokół nas zjawisk społeczno-ekonomicznych, zbyt jeszcze często nie potrafimy w odpowiednim momencie przedstawić się z myślenia kategoriąmi jednostkowymi, rozpatrywanymi w skali mikro, na analizę i ocenę w obszarze makro. Innymi słowy — dostrzegają zależności własnych indywidualnych losów, pozycji zawodowej i kulturalnej, warunków materialnych — od zjawisk zachodzących w całej naszej krajowej gospodarce.

Warto więc i trzeba — wszak jest to nasze „oko” na gospodarce — porozmawiać z Czytelnikami o tych właśnie problemach zarysowanych w ogólniejszym wymiarze, choćby z tego względu, że to co chcemy dokonać w pięcioletniu 1976—1980 jest naszym innym, jak tylko przymiarą naszego kraju do... XXI wieku. Tak, tak — to już za 24 lata!

Pomówmy więc o sprawach, które, było nie było, czekają naszych rąk, umysłów, a także — ale o tym to jeszcze za chwilę. Teraz najwyższa pora przedstawić, dokonając omy „przymiar”, którą chcemy zrobić.

Lubię, nie ma co ukrywać, fakty, szczególnie takie, które dają się porównać. Zaczę więc własnie od nich.

Ołóż — nie tak dawno zaprezentował już Czytelnikom „Odrębność” wiele, moim zdaniem, interesująca liczba: na przestrzeni ledwie jednego tygodnia nasz krajowy przemysł wytwarza produkty wartości 40 miliardów złotych. Obawiam się jednak, że w pojedynkę i ta lic-

niemy nie... dla rozwoju, ale osiągnięcia określonych celów społecznych, w których ma swoje miejsce każda polska rodzina, każdy z nas.

Niestety — bez lezb tutaj nie może się obejść, zresztą myślę, że w tym przypadku i taka niezbyt efektowna forma wybaczą mi Czytelnicy, właśnie z racji na konkretność faktów. A więc: przeciętna płaca nominalna ma się zwiększyć w ciągu najbliższych 5 lat z 3500 zł do 4500, a więc będzie w roku 1980 o 28 proc. wyższą niżeli dziś.

Być może zauważyte tutaj, że istnieje dosyć istotna różnica między pojęciem płaca nominalna a realna, i ta druga bardziej jest interesująca z punktu widzenia społecznego. Tak, macie rację. Trzeba więc koniecznie dodać, że płace realne w tym samym „przedziale” lat 1976—1980 powinny się podnieść w stosunku do poziomu z roku 1975 o jakieś 16—18 proc., przy czym mamy tutaj w praktyce naszego planowania gospodarczego dość istotną nowość. Otóż w tym przypadku różnica między płacą nominalną a realną jest rezultatem z góry przewidzianego wzrostu cen i kosztów utrzymania, rzędu 10—12 proc. Ten mechanizm jest mówiąc krótko niezbędny, jeśli chcemy uzyskać bardziej prawidłową strukturę cen, a z punktu widzenia przeciętnego „Kowalskiego”, jest również istotne, iż jego działanie będzie w praktyce gospodarowania wyprzedzane wzrostem dochodów i płac.

No, ale na pieniądzech problem oczywiście się nie kończy, raczej, mówiąc szczerze, tutaj jest jego początek, bowiem istotną realność naszych dochodów jest nie innego, jak zagwarantowanie odpowiedniej ilości towarów, podażi różnorodnych produktów i usług będących niejako „odpowiedzią” na strumień pieniądza. Spełnienie tej zasady jest niezmiernie ważne nie tylko z punktu widzenia czysto ekonomicznego, lecz także odczuć społecznych i z tego już choćby względu niezbędne jest baczne śledzenie relacji zachodzących między wielkością strumienia złotych trafiających do portfeli, jak i — z drugiej strony — towarów oraz usług. Tak, to sprawa o wręcz kapitalnym znaczeniu, jeśli chcemy poprawić nasze samopoczucie nie tylko formalną zasobnością kieszeni, przy czym nie od rzeczy będzie tutaj powiedzieć, iż musi się to

dość istotnie różnić od dotychczasowego poziomu. Nie możemy sobie pozwolić na to, by bardzo poważna część produktów nominalnie przeznaczonych na rynek, traktowanych jako odpowiedź na zwiększony strumień pieniądza, trafiła do magazynów ze względu na ukryte wady, nie była akceptowana społecznie z racji na złą jakość, braki w estetyce, funkcjonalności, a nawet nitki zapotrzebowanie. Choć niektórzy mówią, że w naszym kraju wyschły już proste rezerwy, to każdy się chyba zgodzi, że jedną z najbardziej prostych jest osłabienie wyrażonej poprawy w jakości wyrobów, w rozumieniu, że nie zawsze duża ilość znaczy pełne zaspokojenie potrzeb, jako że but butowi nie jest równy, a tak ma się rzecz w przypadku niemal każdego towaru o charakterze konsumpcyjnym. Nie mniejszej wagi problem wydaje się być umiejętności wypełniania występujących przecież na rynku wewnętrznych liczących luk asortymentowych, których listę każdy z nas łatwo może sporządzić operując przy tym własnymi potrzebami z uwzględnieniem zasobności portfela, budżetu domowego. A przypomnieliśmy sobie, że małą są i one powiększyć.

Powiecie może: nie są to znowu tak bardzo nowe problemy, które stały przed naszą gospodarką w latach 1976—1980. No cóż — tym większa para, by się z nimi wreszcie uporządkować, przeskakując jeszcze jedną barierę rozwoju.

KRZYSZTOF POGORZELEC

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

ODCŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYŃKOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI. Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



Dokończenie ze str. 1

Łódź wyszła z wojny prawie nie zniszczona, ale też miasto weszło w nowy okres historyczny z całym bałastem przeszłości. Wprawdzie miasto liczy sobie przeszło 550 lat, jednakże Łódź przemysłowa legitymuje się zaledwie 150-letnią historią. Był to okres żywiołowego rozwoju miasta, kiedy obok tkackich warsztatów wyrastały wielkie fabryki, kiedy pracę ręczną zastępowały maszyny i kiedy obok robotniczych famuś budowano fabrykanckie pałace. Tutaj wielkie fortuny egzystowały obok skrajnej nędzy. Tutaj walka na barykadach w czerwcu 1905 roku, późniejszymi strajkami i manifestacjami, polski proletariát pisał chlubne karty swojej historii.

Krótko po wyzwoleniu spełniło się największe marzenie łodzian — miasto otrzymało wyższe uczelnie. Już nie jedną — o którą przez lata zabiegano bezskutecznie, ale kilka. Miasto — na krótko wprawdzie — stało się centrum życia umysłowego kraju. W miarę odbudowy Warszawy Łódź pustoszała, a przed tymi, którzy na trwałe związali się z miastem stanął nowy cel: budować nową Łódź.

Dziś Łódź liczy blisko 780 tys. mieszkańców i jest ważnym centrum przemysłowym, naukowym i kulturalnym w kraju. Wraz z łódzkim województwem mlejskim wytwarza 4,8 proc. globalnej produkcji krajowej, dając jednocześnie na potrzeby rynku wewnętrznego i eksportu 59,9 proc. krajowej produkcji wyrobów półprzemysłowych, 46 proc. produkcji tkanin bawełnianych i bawełnopodobnych, 33,3 proc. produkcji tkanin jedwabnych, 31,3 proc. produkcji tkanin wełnianych i wełnopodobnych, 26 proc. produkcji maszyn włókienniczych oraz 23,9 proc. produkcji odzieży.

Można jeszcze wyliczyć, ile fabryk powstało po wojnie, można byłoby pokazać, jak w strukturze przemysłowej miasta maleje udział produkcji przemysłu włókienniczego, a rośnie przemysłów: maszynowego, elektronicznego i chemicznego, można byłoby przypomnieć, że jeszcze nie tak dawno nowe domy ginęły wśród starej zabudowy... a dziś...

Te fakty są dość powszechnie znane, a jeśli ktoś nawet niezbyt dokładnie orientuje się w liczbach, w danych statystycznych, to w swych codziennych wędrówkach może łatwo przekonać się o tempie łódzkiej przemian. Wyznaczają je nie tylko szybko budujące się nowe dzielnice: Retkinia, Zgierska-Stefana, Widzew Wschód, Dworzec Chojny i inne. Wyznaczają je również nowe fabryki, przebudowa układu komunikacyjnego, rozwój łódzkiego ośrodka naukowego. W codziennej pracy nas wszystkich rodzi się nowa Łódź.

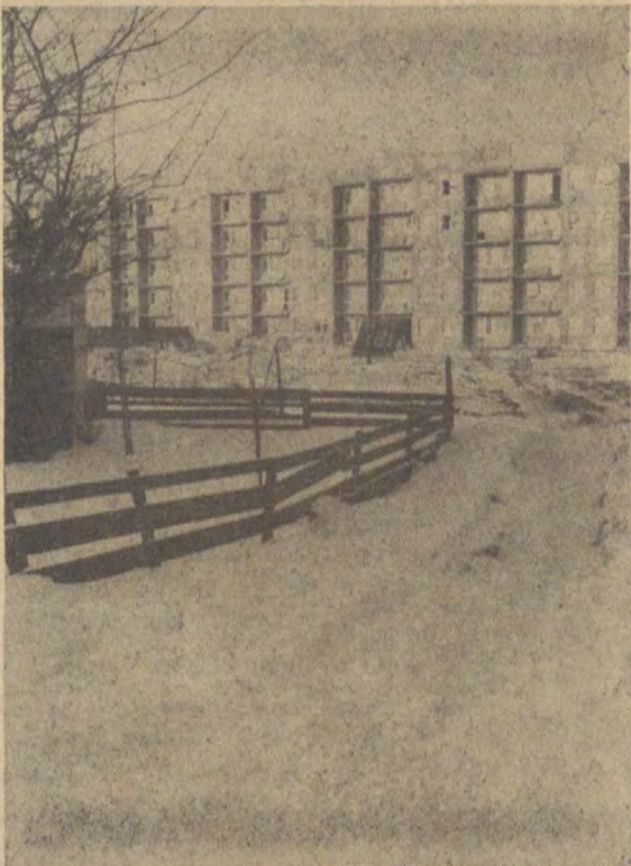
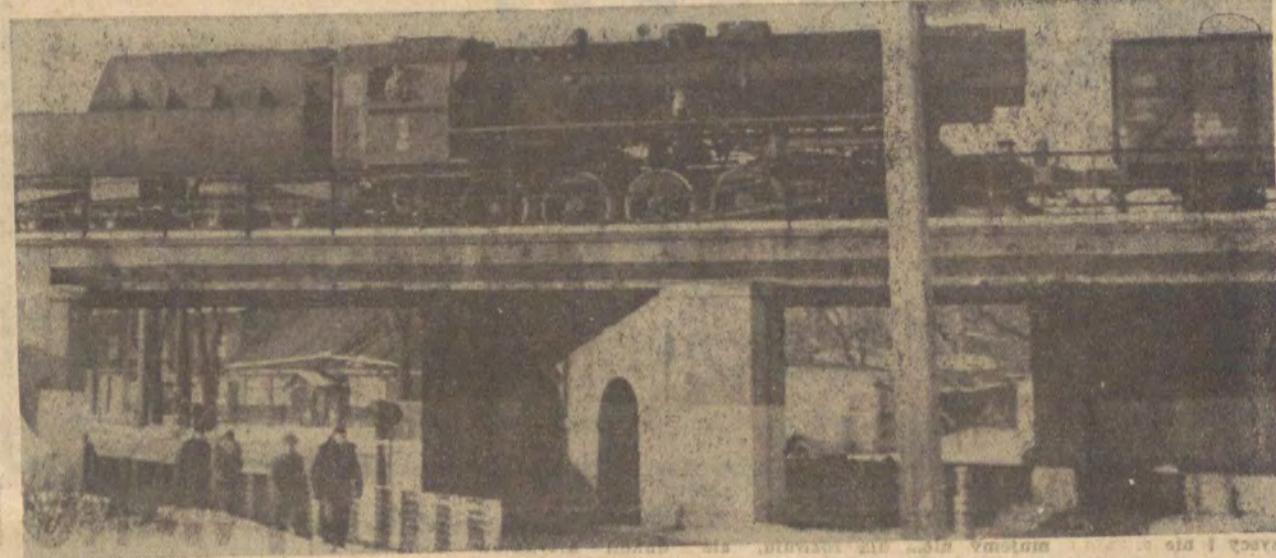
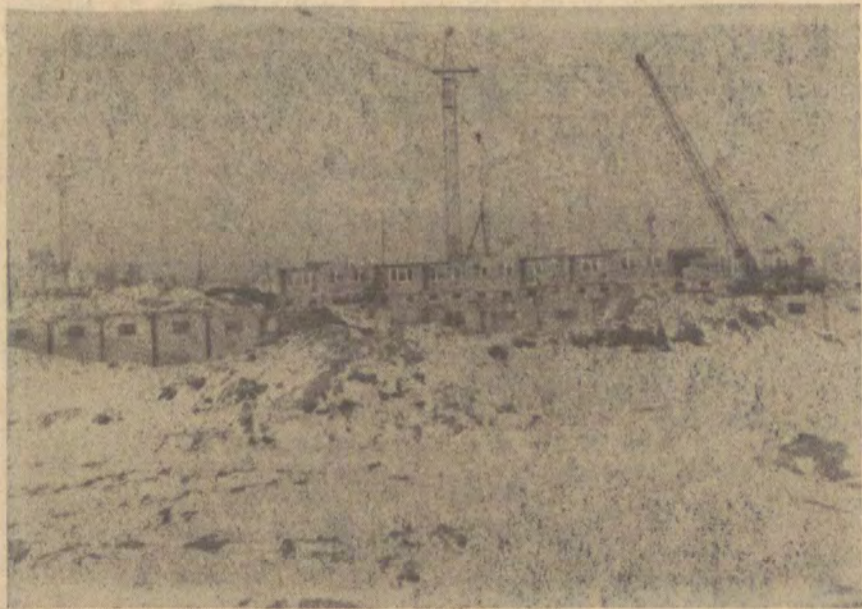
Ostatnie pięć lat były dla Łodzi szczególnie ważne. W tym czasie dokonaliśmy w mieście znacznie więcej niż w poprzednich okresach. Rozpoczęto intensywną modernizację przemysłu, wiele fabryk otrzymało nowe wyposażenie, wprowadziło nowe technologie, a ludzie zaczęli pracować w lepszych warunkach. Wiele fabryk zmieniło dotychczasowe pomieszczenia, przenosiło się do nowoczesnych budynków w nowych dzielnicach przemysłowych. Wystarczy wymienić tylko „Polanil”, „Bistone” czy „Dywilan”. Są to dziś już fabryki na wskroś nowoczesne, dysponujące techniką i technologią będącą na średnim europejskim czy światowym poziomie. I takich fabryk będzie coraz więcej.

W procesie łódzkiej przemian najistotniejszym momentem są nie tylko zmiany ilościowe, ile zmiany jakościowe. Cieszymy się niewątpliwie z tego, że mamy coraz więcej mieszkań, ale przede wszystkim cieszy nas fakt, że są to mieszkania większe, lepiej zaplanowane, lepiej wykańczone. Cieszymy się, ale jesteśmy przekonani, że można robić jeszcze lepiej, jeszcze staranniej. Dumni jesteśmy z osiągnięć ostatnich lat, ale mamy pełną świadomość tego, że stać nas na jeszcze więcej. Często jesteśmy niezadowolony z tego, co dzieje się wokół nas, ale jest to zadowolenie nie małkonotentów, a niezadowolenie ludzi, którzy mają wyższe ambicje, którzy wiedzą, że można i trzeba osiągnąć jeszcze więcej. Jest to twórcze niezadowolenie. Powinno ono zawsze być podstawą naszych, coraz bardziej ambitnych zamierzeń, podstawą naszego działania, które powinno prowadzić do coraz wyższych i większych osiągnięć.

Każdego roku w styczniu bilansując nasze osiągnięcia, spoglądając wstecz, przypominając pierwsze dni wolności, czynimy to nie tylko dlatego, aby spojrzeć na przebyty od tamtego czasu drogę, choć to też jest potrzebne, czynimy tak przede wszystkim dlatego, aby pamiętać, że to, co osiągnęliśmy, co stworzyliśmy i co zamierzamy osiągnąć, stało się możliwe dzięki ofierze tych, którzy za nasz spokój, za możliwość naszej pracy dla dobra narodu, ponieśli najwyższą ofiarę. Oddali życie.

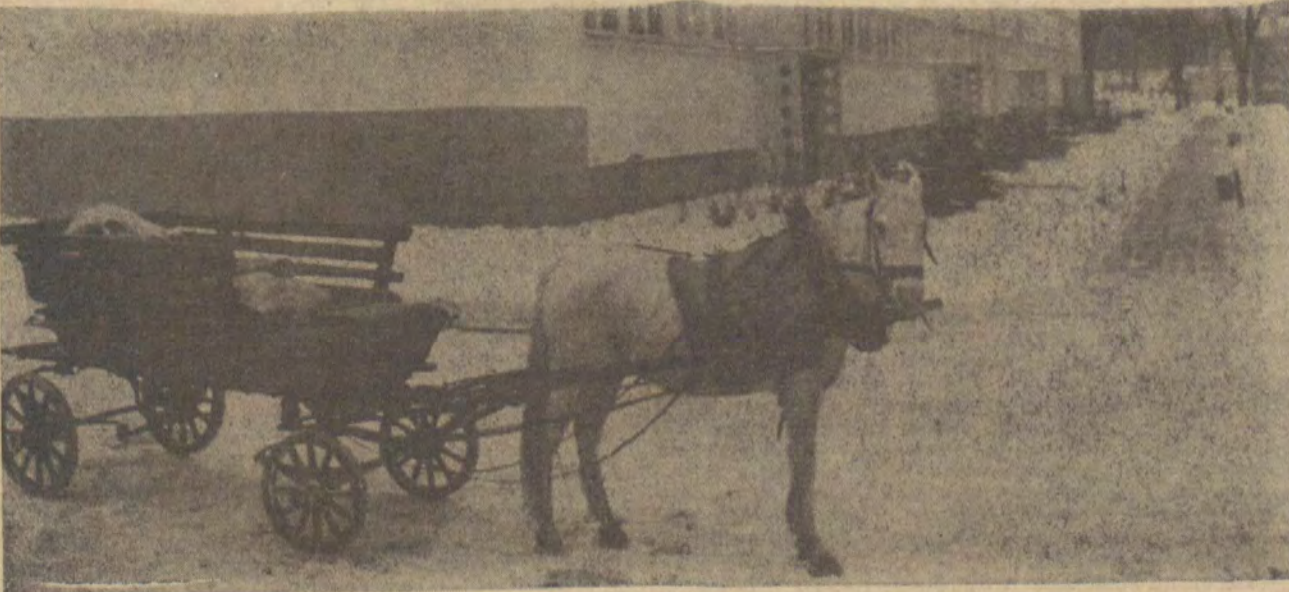
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

FOTOREPORTAŻ
WŁODZIMIERZA
PARYSA



BOGUSŁAW SIKORSKI
RADOGOSZCZ

Dopala się we mnie płonący horyzont
w wietrze przelatujących ptaków
drżące cienie spadają
na bruk rozlupywany pożarem kamieni
Pękają struny skrzyplie
łania się skrzydła ptakom
wśród dymów skłębionych
jaki najcichsze wzywają do nas
Nie powrócą z tej podróży
by swój czas odnaleźć
Cień od gwiazd odbity
żarzy się człowiekiem
Pieśń z tej ziemi
spoza tamtej strony
Gdzie kościół, gdzie dzwony
Ludzie wołają z numerem istnienia
Ziemia w krwi zeszywniała
Miłość dziecka straciła wiarę w człowieka
Na tych samych kamieniach
cień zastąpił tej styczniowej nocy
I taka cisza wkoło
Tylko pomnik Radogoszcza
któremu dziś mówię
Znów uwierzyłem w człowieka



Nie daj im odechnąć — powiedział sobie Gruban Malic, gdy wyszli z cywile wyszli z karczmy. — Ani odechnąć, ani zapomnieć o tym, o czym dziś im powiedziałeś. Musisz udowodnić, że się ich nie boisz i zdecydowany jesteś iść do końca. Dalej więc, byle naprzód.

Kilku ludzi widziało, jak Malic wydobyl spod lady rewolwer. Zdziwili się, gdy ze zgniecionego, podziurawionego kulami hełmu wyjął granat i podrzucił jak gruszkę. Udał, że nie widza, i cichcem wymknął się na dwór. Ostentacyjnie pokaszując, Malic wyszedł za nimi.

Zołnierze ustawiali się w szeregi. Pijani oficerowie wykrzykiwali rozkazy i najpaskudniejsze przekleństwa, ale gitara nie pozwalała usłyszeć, o co właściwie chodzi.

Zołnierze śpiewali „Vincere” nie składnie i od niechcenia. Słychać było trąbkę i werbel. Niektóre oddziały już ruszyły ku krańcom miasteczka. Za wojskiem zostawały tylko dzieci o długich szyjach, smutek i kurz.

Może nie mają odwagi cię zaatakować — powiedział sobie Malic. — Pewnie wiedzą, kto za tobą stoi i z kim jesteś w kontakcie. A jeżeli w dodatku ktoś im powiedział, że czerwony Ruch i rewolucję wspomagasz pieniędzmi... to jestem przekonany, że długo jeszcze będą cię unikać. Ale ty będziesz ich wyzywał i jeżeli tylko się da, wciągniesz ich do walki. Wtedy się okaże, kto staje na placu boju. Wierzę, że karabinami maszynowymi ani działami nie uda im się złamać w tobie serca.

Trzymał rękę na pistolecie, na spuście. Ale nie pojawił się jeszcze nikt, w kogo by wymierzył głodną lufę.

Ruszył przez plac, którego nienawidził: to tutaj krzykacze dniami i nocą ślawili zwycięstwa i wszelkiego rodzaju sukcesy. Wstręt czuł do małego zakurzonego czołgu, który od czasu do czasu, jak dziś rano na przykład, budził się ze snu, aby wystraszyć mieszkańców miasteczka, zagłuszyć dzwon cerkiewny i modlitwę hołdy. Zbliżał się do masztu z leniwie oklapniętym sztandarem, którego nawet ciepły wiatr nie mógł dziś poruszyć, i do Komendy z przymkniętymi żaluzjami.

Nawet nie pomyślał, że tak szybko znajdzie się koło czołgu. Salvatore Paolone nerwowo mrugał powiekami, choć nie patrzył w słońce. Z ręką na pasie, łagodnymi słowami usiłował przepędzić może sześciolatniego smarkacza.

— Ale perche? — odpowiadał chłopiec. — Dlaczego, signor soldato?

— Dlaczego? — złościł się żołnierz i dodawał: — Dlatego, że nie ma ładnie. Ty co dzień przechodzisz z innymi dziećmi i pisiclarze mio czołg.

— Ma perche no, signor Italiano? — szeptał karzełek obskując gąsienicę z drugiego boku. — Dlaczego nie, Salvatore?

— Dziecko mój — żołnierz poczerwiał — to naprawdę nie ma ładnie. Iść sobie szybko. Iść i pisiclarze twoja dom!

— Ja nie ma dom — powiedział kędzierzawy, dawno nie strzyżony chłopczyk. — Nie ma dom — powtórzył smutno i obsusiał trzeci bok czołgu.

— Ja porozmawiam z twój ojciec, dziecko mój — z nieprzekonywanym gniewem w głosie powiedział Paolone. — Pisiclarze mio czołg... my mieć jeszcze jeden czołg, to czemu pisiclarze mój... nie ma rada, ja porozmawiam z papą.

— Soldati zabili mío papą — powiedział chłopiec. — I tatę, i mamę. Granat! I nie ma tata, nie ma mama. — Biedny mój dziecko — powiedział żołnierz i głos mu zadrzżał. — Nie jestem biedny — odparł chłopiec.

— Przyjść mi tu. Przyjść — poprosił Salvatore.

Chłopiec zaplątał spodenki i podszedł. Żołnierz pogłaskał go po głowie i zaczął pociągać nosem.

— Dziecko mój smutny... mío triste... przyjdź mi tu... o, tak... ja jestem tuo amico, a ty dobry dziecko, ale nie pisiclarze moja czołg z inne dzieci... ty może, tylko ty, caro... tylko ty może...

— Czemu płaczesz, signor soldato? — powiedział chłopiec i odsunął się od niego. — To nie ma ładnie, Italiano.

— Ty nie ma ani mama, ani papą — wybełkotał żołnierz i sięgnął do kieszeni. — Ma tu liry — szybko podał chłopcu kilka metalowych pieniążków.

— Italiano — powiedział zdumiony chłopiec nie patrząc na pieniądze. — Ja zabił twój ojciec i mama. — Non e vero, Italiano — powiedział głucho chłopiec. — Nie tak było. Inni rzucali granaty. Altri soldati. Widziałem. Dwa lata temu.

— Wszystko jedno — powiedział żołnierz i jeszcze raz sięgnął do kieszeni.

— Nie lubię, jak ktoś płacze, Salvatore — powiedział chłopiec i cisnął monetą w cień czołgu. — Non mi piace...

Zołnierz patrzył za nim: mały, bony, na krzywych nogach pedził przez plac. Jak gdyby nie chciał się zatrzymać, aż gdyby studiował nad rzeką. Wo-

kół niego powiewały łachmany. Przez kółki wydawał się jeszcze brzydszy.

Zołnierz koło czołgu rękawem otarł policzek i — spostrzegł Malicia.

Zanim cokolwiek zdążył zrobić, Gruban Malic wyciągnął pistolet.

Zołnierz tylko zagryzł siną wargę. Wytrzeszczył oczy i nie miał siły nawet zejść ze słońca.

— Soldato — powiedział Malic. — Zolnierzu!

Jego złamany głos, mimo odciechu gniewu, nie był jednak dość wyzywający. Chociaż miał w ręku pistolet, chociaż podszedł do czołgu, żeby zacząć poważną rozmowę i spór, zwrócił się do człowieka w hełmie jak do kogoś, kogo zagubiwszy się w świecie grubiańskich i samolubnych ludzi, spotkał na pustej drodze. Nawet nie

bratniego chłopca. Zrozumiał, że Malic nie przyszedł tu z nim żartować, i rozejrzał się wokół. Plac był pusty, okna kancelarii i mieszkania pułkownika zamknięte. Nikogo nie mógł zawołać na pomoc, strzelać nie śmiał ze wstydu. Czując, że drżą pod nim kolana i że za późno już uciekać czy krzyknąć, żołnierz schował się za czołg: zza splekoty i namacalnego strachu sterczał jedynie bagnet jego długiego, brzydkiego karabinu.

— Nic ci nie zrobię, soldato — powiedział Malic. — Nie wierzę — powiedział żołnierz zmienionym głosem. — Słyszał, że Czarnogórcy kłami. — Nie chowaj się, Amintore — powiedział Malic. — Tobie naprawdę nie zrobię.

mówił! Nie chce nas uwolnić od czerwonego smoka! Tylko brwi wygina i uśmiecha się jak kurwa!

— Ciszej, popie — szeptał hodża. — Ciszej, czuje, że ktoś to słyszy! Jeszcze się zwali nowe nieszczęście, jakby mało było jednego. Popie, w imię...

— Ładny mi komendant! — zagrział pop wytrzeszczając nabiegłe krwią oczy. — Dziwny komendant! — dodał i trzasnął pięścią Mustafę Agicia po karku. Może nawet i... komunista!

— Popie! — błagalnie zawołał nagle pobladły hodża. — Czarny mój popie! O, ludzie, nie pozwólcie... trzymajcie go! Popie, bracie rodzony...

— Komunista! Puśćcie mi w brodzie, jeżeli się mylę! Mam ja nosa do czer-

— Soldato! — krzyknął rozpaczliwie pop Vukić. Giuseppe, strzelaj! Na co czekasz? Gdzie się gapisz, na Boga! Bij, morduj czerwonego lajdaka Amazzare, amazzare, soldato!

Wszyscy prócz Grubana Malicia wpatrywali się w wystraszonego żołnierza. A on, błądy i ponury, tylko trząsał się i machał ręką.

— Signori... nie wolno strzelać... signori cari, nie ma rozkazu...

— To chociaż go złap! — zagrział pop, z trudem utrzymując się na nogach. — Schwyć go za kark!

Zołnierz miał oczy pełne strachu i łez.

— To wróg, Salvatore! — krzyknął Mustafa Agić nie ruszając się z miejsca. — Nasz wspólny wróg, Paolone! Okrutny komunista!

— Zawołajcie innego żołnierza — powiedział prawie z płaczem Salvatore i ciarki go przeszyły, gdy zobaczył, jak Malic ciska przekleństwa i ulotki.

— Teraz go podejdź! — podjudał Mustafa Agić kryjąc się za hodżą. — Adesso, Salvatore! Od tyłu! A my go z boku!

Zołnierz jeszcze raz spojrzął na rozkraczanego, rozkrzyżowanego Malicia, przypomniał sobie niedawną z nim rozmowę i zadrzżał. Wyznał, nie tak znów cicho, popu, Mustafie Agiciowi i wszystkim, którzy na niego patrzyli: — Dobrze, podejdę... ale najpierw zabierzcie mu broń!

Pop Vukić jęknął. Powiedział, że ten żołnierz to też komunista, i zachłystnął się. Potem bezsilnie rozłożył ręce. Gdyby nie Mustafa Agić, hodża i Czarnogórcze, runąłby na bruk. Podtrzymały go ich ramiona. Był błądy, charczał. Otwierał i zamykał duże usta niby jakaś nieznana, oibrymia ryba, której na lądzie zabrakło powietrza. A ręce, jakby chciały oderwać się od zwłoczącego, ociepiałego ciała, zwiślały, palcami dotykając ziemi.

— Dobrze ci tak, zdychaj! — huknął Gruban Malic. — Zdychaj, zwycięzco faszystowskie! A jeżeli teraz nie zdchiesz, moja ręka dosięgnie twego gardła!

Hodża wciąż się modlił. Jego ruchy i szept były dla żołnierzy ciekawsze niż przekleństwa, pogrożki Malicia i budzące panikę wezwania do powszechnej walki.

Popa, tak jak przedtem, gdy zdarzało mu się mdleć ze wzburzenia, przywracano do życia ręką. Wpół obnażone, włochate ciało, nasiąkające rakiją jak gąbka, rozgrzewało się i zaczęło drzeć.

— A kto nie pójdzie z nami w tej zaszczytnej, nadludzkiej walce — ciągnął Malic obejmując spojrzeniem wszystkich zebranych — w tej walce przeciw okupantom i ich rodzimym sługom, będzie uważany za wroga ludu pracującego!

Malicia nikt już nie słuchał. Nadbiegli żołnierze z noszami i lekarstwami. Rozpychali naród, zaciękałwiony, czy kapłani umierają tak jak inni ludzie.

Pod brzemieniem czarnej góry popiego mięsa stękało sześciu mężczyzn. Pop jęczał, przeciągając i chorobliwie. Z tej pozycji, z odrzuconą głową i opuszczonymi ramionami, widział wroglogłowy tłum, sztandar zwiśający na maszcie i wieść swojej cerkwi na tle nieba. Pod sobą czuł czyste wątle, słabe ręce i wargi mu się poruszały: nienie, wyblądle i splekane, domagały się jeszcze paru kropel słodkiej śliwkowej trucizny.

Położył go na nosze i dokądś zabrał.

Znowu jesteś sam — powiedział do siebie Malic, kiedy wszyscy się rozeszli. — Nie udało ci się wciągnąć ich do walki — dodał spoglądając za żołnierzami znikającymi w kurzu najwęższej z uliczek. — Silniejszy był strach przed następstwami, bo gdyby cię choćby palcem dotknęli, wybuchłby wielki konflikt, który drogo by ich kosztował. Mimo wszystko nie było tak źle: pokazałeś im pistolet, który w każdej chwili może kogoś położyć trupem, i o mało nie uśmierciłeś popa, tego brodatego złooczyńcy. Więc w sumie...

Był zupełnie sam. Nieumiejętnie trzymając rewolwer, zastanawiał się, w którą pójść stronę. Ale słońca i kurzu było tyle, że nie chciał mu się ruszyć z miejsca. Gorycz ścisłała mu serce, brzydkił się wszystkim, co go otaczało.

Niechętnie poszedł w stronę masztu ze sztandarem. Zmęczony wzrok zatrzymał na małym czołgu i żołnierzu: nad zielonym hełmem i wokół bagnetu osadzonego na długim karabinie kreśliły się roje spaszonych much. Oczy żołnierza były niepokieszenie smutne, jakby zażawione.

Malic nie zdziwił się, gdy zobaczył, że chłopiec w łachmanach obskując gąsienicę czołgu. Ale zdziwił się, gdy zaczął to robić także żołnierz, po drugiej stronie Paolone i chłopiec spoglądali na siebie ponad czołgiem, jak ludzie, którzy mają sobie wiele ważnych rzeczy do powiedzenia.

— Ach, Amintore — westchnął Malic. — Ach, i ty czarny, obszarpany chłopiec. Co w ty robicie w biały dzień? I czemu nie odezwiacie się do mnie. Ach, diabły, nie widziacie, że jestem sam, zupełnie sam?

Tłumaczyła:
DANUTA
CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

Fragment powieści, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

MIODRAG BULATOVIĆ

BOHATER NA OŚLE

spojrzał na niego surowo, choć usiłował zmienić wyraz znużonej, bladej twarzy i przybrać wygląd człowieka, który bada, karci, rozkazuje.

Zołnierzowi również głos Malicia nie wydał się zbyt srogim, więc nawet nie ruszył się z miejsca. Patrzył na niego zdumiony: człowiekowi z pistoletem broda się trzęsła, a oczy, w których malowała się zniewaga, pełne były ponurych łez i goryczy. Żołnierz przyglądał się zgnębionemu, zmieszanemu przybyszowi i pragnął szepnąć mu jakieś ciepłe słowo pociechy. Jeżeli nie

— Nie jestem Amintore — powiedział żołnierz. — Jestem Salvatore. Salvatore Paolone.

— Więcej wyjdź, Paolone — powiedział głucho Malic i spostrzegł, że bagnet drży. — Mówiłem już, nie ci nie zrobię. Chcę się zmierzyć z twoimi szefami. O to mi chodzi.

— To po co mnie zaczepia? — spytał żołnierz z ukrycia. — Jestem na warcie.

— Szefy są w Komendzie, Salvatore?

— Na warcie jestem i nie daję informacji — powiedział żołnierz kucając. — Są na górze.

— A wiesz ty, Paolone, że ich wszystkich pozabijam? — Malic ożywił się nieco. — Wszystkich, co do jednego. Nie narzekaj, tobie naprawdę nie nie zrobię. Ciebie wprowadzę do Ruchu. A ich...

— Nie chcę do ruchu — powiedział Paolone.

— A co chcesz, diabło włoski? — Chcę do domu — powiedział żołnierz.

— Będziesz świadkiem dużego huku, Salvatore! Wychodź!

— To wasze sprawy — powiedział żołnierz z kalabrijskim akcentem. — Mnie w to, Montenegro, nie mieszaj. Róbcie co chcecie, tylko mnie nie ruszajcie. Bo prawdę mówiąc...

— Ale, Salvatore — zaczął Malic, podskakując wokół czołgu — ty musisz pójść i zawiadomić o tym. Przygotować ich. Rozumiesz?

— Rozumiem ja ciebie, ale ty nie rozumiesz mnie — powiedział przerażony żołnierz z drugiej strony czołgu. — Róbcie co chcecie, byle dalej ode mnie. Dlatego, Montenegro, odejdź ode mnie i od mojego czołgu Odejdź natychmiast. Ktoś może nas zobaczyć. Bo prawdę mówiąc...

— Paolone! — zawołał Gruban Malic, mocno ścisnął pistolet. — Italiano! — dodał i ruszył w stronę bagnetu, który znów zmienił miejsce. — Więc i tobie zabronili podejmować walkę! Słuchaj ty, Amintore...

Przeklinając kalabrijskiego Boga i wszystkich świętych po kolei, Malic spostrzegł ciągnącą przez plac grupę ludzi.

Prawosławny pop był najbardziej rozwścieczony: robił tak długie i szybkie kroki, że Mustafa Agić, włoski szpieg, próbując go dopędzić i uspokoić, po prostu biegał wokół niego. Pop warczał, gotów był gryźć. Wymachiwał łapskami, potrząsał nie tylko Mustafą Agiciem, lecz także paradnie wystrojonym i zastrachanym Czarnogórcem. Chwytał za rękaw i wędze ramionka siwego hodżę, który najciężiej znosił całe to zamieszanie.

— Ładny mi komendant z tego pułkownika Allegretti! — wykrzykiwał pop. — Ładny mi komendant, szkoda



Rys. J. Szymański — Glane

innego, powiedziałaby przynajmniej, że upał jest dziś nieznośny i że najchętniej rzuciłby karabin i pobiegł do rzeki. Ale nie zrobił nic, prócz tego, że cokolwiek zaniepokojony rozdziawił usta.

— Italiano — powiedział Malic i po raz drugi pokazał mu pistolet.

Zołnierz sięgnął brwi i zamknął usta: była to twarz zaskoczonego, o-

Z przewodniczącym Towarzystwa Przyjaciół Łodzi — MIECZY-
SLAWEM WOŹNIAKOWSKIM rozmawia Bogda Madej.

Szybki rozwój Łodzi, dokonujący się w ostatnich latach, powoduje nie tylko zmiany w panoramie miasta, ale nie pozostaje również bez wpływu na charakter łódzkiej społeczności. Zanikają dawne więzi, tworzą się nowe. Z pejzażu miasta znikają cechy, które decydowały o tym, co w skrócie nazywano łódzką specyfiką. — Ale tak naprawdę — pytam MIECZYSLAWA WOŹNIAKOWSKIEGO — to co należy rozumieć pod pojęciem: łódzka specyfika?

— Dla mnie łódzka specyfika to przede wszystkim szybkość z jaką kiedyś powstawało to miasto i szybkość z jaką dziś ono się zmienia.

— Jednak ta szybkość przemian, szybkość rozwoju ma swoje konsekwencje.

— Pewnie minimum egzystencji swojej rodzinie. Wpływało to hamującą na wszelkie przejawy fantazji, rodzilo minimalizm.

— I coś z tych cech łodzianina pozostało do dziś.

— Tylko, że dawniej, kiedy było to uzasadnione warunkami, nie było tak drastycznie widoczne. Było bowiem zjawiskiem naturalnym. Dziś, kiedy nikt już nie musi się troszczyć w takim stopniu o swoją egzystencję, kiedy więcej jest pracy niż chętnych do niej, taki minimalizm staje się zjawiskiem hamującym postęp społeczny.

— Łodzianie przyzwyczaili się do wyrzeczeń. Stało się to już cechą charakterystyczną postawy łodzianina. Cechą, z którą powinniśmy walczyć. Nie chciałbym jednak, aby mnie zro-

ty za wzruszeniem, za emocjonalnym przeżyciem.

To jednak nie wszystko. Pamiętam przecież powodzenie teatru Józefa Piłarskiego, który wystawiał sztuki dla robotników czy to w stołowiec w fabryce Poznańskiego przy ul. Ogrodowej, czy w stołowiec fabryki Gejera przy ul. Piotrkowskiej. Myśmy na Chojnach też próbowali wystawić III część „Dziadów” Adama Mickiewicza. A ileż wtedy było chórow, zespołów amatorskich, ileż prób nie tyle udanych, co ambitnych, wynikających z potrzeby zaspokajania robotniczych ambicji i zainteresowań.

— Chciałbym zaproponować zmianę tematu. Dotyczy to spraw, o których mówiliśmy, ale widzianych w trochę innym kontekście. Chciałbym zapytać, co zdaniem Pana bardziej przystaje do łódzkiej tradycji: domki tkaczy czy secesja?

— W moim przekonaniu spraw tych nie wolno łączyć, ani stawiać alternatywnie. Są to zupełnie różne sprawy. Przede wszystkim domki tkaczy, o których było i jest tyle szumu, są pamiętkami z czasów Łodzi rekonstrukcyjnej. Niekiedy są, że były to tylko domki, w których mieszkali tkacze. Otóż nie tylko. Były to jednocześnie ich warsztaty pracy.

— Była propozycja, aby domki te przeniesić do skansenu.

— Jesteśmy w TPE przeciwni takiej decyzji.

— Zależy, że jest ona obecnie nieaktualna.

— Nie tylko o to chodzi. Proponowaliśmy zachować trzy takie domki i to nie w skansenie, ale właśnie w śródmieściu, gdzie stały.

— Nie kolidowałyby to z nowoczesną zabudową śródmieścia?

— To już sprawa architektów, jak je wkomponować do tej zabudowy. Zresztą nie jest to nic nowego, na świecie w wielu miastach zastosowano takie właśnie rozwiązanie i znakomicie spełnia ono swoją rolę.

— Dlaczego TPE zajmuje takie stanowisko?

— Naszym zdaniem takie domki powinny być turystyczną atrakcją. Można byłoby jeden z nich wyposażyć w tradycyjny warsztat tkacki, w takie urządzenia, przy których pracowali ich mieszkańcy. W drugim mogłoby być kawiarenka, w trzecim — kiosk z pamiętkami.

— Ale tych domków przy ul. Piotrkowskiej już nie ma.

— Nic nie szkodzi. Były one w takim stanie, że wymagały rekonstrukcji. Można je — na podstawie szczegółowej dokumentacji — odtworzyć idealnie wiernie. I rzecz w tym, aby zgodzono się je odtworzyć właśnie przy ul. Piotrkowskiej.

— A sprawa secesji?

— Secesja jest zabytkiem z innego okresu i tak samo cennym, jak i domki tkaczy. Zresztą zabytkami są również pałace fabrykanckie i nikt dziś nie będzie się domagał burzenia tych pałaców. Chodził przecież o to, aby zachowując pomniki przeszłości, znaleźć dla nich najwłaściwszą funkcję we współczesnych czasach.

— Jak TPE widzi swoją rolę w zachowaniu łódzkiej tradycji?

— Warto tu może podkreślić, że fakt powstania Muzeum Historii Miasta Łodzi znaczenia radykalnie wszelkie dążenia do zachowania tradycji, jej utrwalenia i nadania jej właściwego wymiaru. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi będzie związane z Muzeum



Foto Archiwum

NIE ZGUBIĆ PRZESZŁOŚCI

— Niewątpliwie. I miała ona wpływ na ukształtowanie się mentalności łodzian. Proszę pamiętać, że kiedy kształtowała się Łódź przemysłowa, robotnicy rekrutowali się przede wszystkim z chłopów. Ja jeszcze pamiętam, że w czasach mojego dzieciństwa i mojej młodości, na przykład łódzkie wesela miały wiele cech wsielskich. Były to wpływy z Piotrkowskiego, Sieradzkiego czy Łęczyckiego. Istniała wówczas silna więź z rodziną pozostawioną na wsi.

Pamiętam na przykład jak mój ojciec wziął kiedyś trzech nas, najstarszych synów, i zawiózł gdzieś pod Sieradz i pokazał miejsce, w którym stała ich chałupa. Tam już rósł młody brzoźniak, ale dla niego było to miejsce, gdzie się urodził, wychował. Było to jego miejsce rodzinne i pamięć o tym chciał przekazać nam.

To była jedna strona tego, co można nazwać wspomnieniem z przeszłości. Druga strona polegała na tradycyjnym przywiązaniu do ziemi. Dążeniem każdego przybyłego do wsi łodzianina było kupno ziemi. Pamiętam, że w naszej rodzinie był taki człowiek, który nawet ze skromnego zasłku dla bezrobotnych odkładał lichy grosz tylko po to, aby kupić plac pod przyszły dom. Jakże to były domy — lepiej nie wspominać. Mówiło się o tym: bieda-budownictwo. Ale w tym wszystkim zawierało się utrwalenie tradycją dążenie do własnego: do własnego kawałka ziemi, do własnego domu. Dawało to ludziom, którym przyszło żyć w wielkim mieście poczucie pewności, poczucie — jakbyśmy dziś powiedzieli — stabilności.

Kiedy już taki „od niedawna łodzianin” dorobił się grosza na własny plac, stawał byle jaką budę, aby był dach i cztery ściany, piecyk w środku i zaraz potem myślał o bydłach. Kupował więc najpierw koze, później króliki, bo przecież musiała być — jak za dawnych czasów — hodowla, bo to też dawało poczucie stabilności. W jednym pomieszczeniu, zaraz przy drzwiach musiała być beczka z kwaszoną kapustą, a pod łóżkiem, za szalowaniem z desek, kartofle. To gwarantowało, że zimą rodzina robotnicza nie zagna głodu.

Trzeba pamiętać, że tych ludzi wypychała ze wsi nie tęsknota za miastem, a nędza. Oni uciekali przed nędzą. Przychodzili do miasta, gdzie mieli się dorobić, a tutaj też nie było najłatwiej. Tutaj groził im lokaut, strajki, wyrzucenie za bramę. Chcieli się więc przed tą niepewnością ochronić, dążyli do tego, aby mieć zabezpieczenie na wszelką ewentualność, na najgorsze, które zawsze mogło ich i ich rodziny spotkać.

— Czy takie warunki, w których rosły pokolenia łodzian nie wpłynęły w jakiś sposób na mentalność mieszkańców miasta?

— Bez względu na to. Z jednej strony wpływało to na szukanie takiej siły społecznej, która pozwoliłaby wyrwać się robotnikowi z tych trudnych, a niekiedy wręcz nędznych warunków. Stąd rewolucyjność łódzkiej klasy robotniczej. Z drugiej jednak strony — co wzajemnie sobie nie przeczy — robotnik musiał być człowiekiem życiowo ostrożnym. On nie mógł żyć na wyrost. Musiał nieustannie pamiętać o groźbie bezrobocia, o za-

zumiano opacznie, że powinniśmy więcej żądać. Nie, powinniśmy sobie przede wszystkim stawiać wyższe wymagania, bardziej ambitne cele.

— Wspomniany przez Pana minimalizm nie jest jedyną cechą łodzianina?

— Oczywiście, że nie. Szybkość przemian, o której wspominałem wcześniej, rodzila też i inne zjawiska. I to bardzo pozytywne.

— Jakże?

— Przede wszystkim dążenie do wiedzy i zainteresowanie — jeśli to można tak powiedzieć — sztuką. I tu chciałbym znów zastrzec, że nie były to dążenia przeciwstawne, jakkolwiek mogłoby się tak wydawać. Bo jakże to, z jednej strony minimalizm a z drugiej — zainteresowanie wiedzą i sztuką.

Rzecz jednak w tym, że łódzki robotnik troszczył się przede wszystkim o zagwarantowanie minimum warunków egzystencji dla swojej rodziny, a z drugiej — zęknąwszy się z miastem, z zupełnie innymi warunkami życia, zaczynał rozumieć, że jeśli pragnie utrzymać się choćby tylko na średnim poziomie, to musi się uczyć, musi — poznać tajemnice tego nowego świata, w którym przyszło jemu i jego dzieciom żyć i pracować. I wcale nie było w tym sprzeczności, że — jeśli już nie mógł sam myśleć o wiedzy dla

wrócić historyczne nazwy ulic, czy zachować dokonane zmiany? Przecież można było znaleźć inny sposób uczczenia Juliana Tuwima, a nie dawać mu w „dzierżawę” historyczny Przejazd. W każdym razie chcielibyśmy mieć większy wpływ na nazywanie ulic, gdyż to, co dzieje się do tej pory, te ulice Nowotowarowe i temu podobne, dowodzą tylko braku wyobraźni i nieznajomości historii miasta u projektodawców.

— A inne z zamierzeń TPE?

— Nie chciałbym tu mówić o wszystkich. Powiem tylko o tym, co uważamy za najistotniejsze. Chcemy — i mamy już taki program — skierować główną naszą uwagę na młodzież. Zainteresować ją tradycją miasta, jego historią. Proponujemy na przykład, aby w kilku łódzkich szkołach średnich rozwijało się tkactwo artystyczne. Mamy w tej mierze poparcie kuratorium. Prowadzimy wśród młodzieży szkolnej konkurs na zbieranie dokumentów o przyszłości szkoły i to z dużym powodzeniem. Kształcimy młodych przewodników turystycznych, licząc się z tym, że tworzymy kadre ludzi dobrze znających tradycję i historię Łodzi. A to powinno owocować w przyszłości.

— Zaczęliśmy naszą rozmowę, od próby scharakteryzowania łódzkiej specyfiki. Czy można byłoby prosić na zakończenie o próbę scharakteryzowania kierunku przemian, jakie dokonują się w teraźniejszości.

— Nie jest to łatwa sprawa. To prawie osobny temat. Spróbuję zatem zasygnalizować tylko problemy, jakie moim zdaniem występują w tym procesie.

A więc z jednej strony znaczne zatonięcie społeczeństwa. Dawniej poszczególne dzielnice Łodzi nosiły w sobie wyraźne cechy małych miasteczek, a nawet wsi. Dziś ludzie przejawiają dążność do zamknięcia się we własnym domu. Ale z drugiej strony rodzi się już lokalny, osiedlowy patriotyzm. My chcemy, aby u nas było najwięcej kwiatów — mówią mieszkańcy Kozin. Tak samo myślą na Teofilowie i nawet na budującej się dopiero Retkini. Rodzą się różne cenne

przeżyciem.

To jednak nie wszystko. Pamiętam przecież powodzenie teatru Józefa Piłarskiego, który wystawiał sztuki dla robotników czy to w stołowiec w fabryce Poznańskiego przy ul. Ogrodowej, czy w stołowiec fabryki Gejera przy ul. Piotrkowskiej. Myśmy na Chojnach też próbowali wystawić III część „Dziadów” Adama Mickiewicza. A ileż wtedy było chórow, zespołów amatorskich, ileż prób nie tyle udanych, co ambitnych, wynikających z potrzeby zaspokajania robotniczych ambicji i zainteresowań.

— Chciałbym zaproponować zmianę tematu. Dotyczy to spraw, o których mówiliśmy, ale widzianych w trochę innym kontekście. Chciałbym zapytać, co zdaniem Pana bardziej przystaje do łódzkiej tradycji: domki tkaczy czy secesja?

— W moim przekonaniu spraw tych nie wolno łączyć, ani stawiać alternatywnie. Są to zupełnie różne sprawy. Przede wszystkim domki tkaczy, o których było i jest tyle szumu, są pamiętkami z czasów Łodzi rekonstrukcyjnej. Niekiedy są, że były to tylko domki, w których mieszkali tkacze. Otóż nie tylko. Były to jednocześnie ich warsztaty pracy.

— Była propozycja, aby domki te przeniesić do skansenu.

— Jesteśmy w TPE przeciwni takiej decyzji.

— Zależy, że jest ona obecnie nieaktualna.

— Nie tylko o to chodzi. Proponowaliśmy zachować trzy takie domki i to nie w skansenie, ale właśnie w śródmieściu, gdzie stały.

— Nie kolidowałyby to z nowoczesną zabudową śródmieścia?

— To już sprawa architektów, jak je wkomponować do tej zabudowy. Zresztą nie jest to nic nowego, na świecie w wielu miastach zastosowano takie właśnie rozwiązanie i znakomicie spełnia ono swoją rolę.

— Dlaczego TPE zajmuje takie stanowisko?

— Naszym zdaniem takie domki powinny być turystyczną atrakcją. Można byłoby jeden z nich wyposażyć w tradycyjny warsztat tkacki, w takie urządzenia, przy których pracowali ich mieszkańcy. W drugim mogłoby być kawiarenka, w trzecim — kiosk z pamiętkami.

— Ale tych domków przy ul. Piotrkowskiej już nie ma.

— Nic nie szkodzi. Były one w takim stanie, że wymagały rekonstrukcji. Można je — na podstawie szczegółowej dokumentacji — odtworzyć idealnie wiernie. I rzecz w tym, aby zgodzono się je odtworzyć właśnie przy ul. Piotrkowskiej.

— A sprawa secesji?

— Secesja jest zabytkiem z innego okresu i tak samo cennym, jak i domki tkaczy. Zresztą zabytkami są również pałace fabrykanckie i nikt dziś nie będzie się domagał burzenia tych pałaców. Chodził przecież o to, aby zachowując pomniki przeszłości, znaleźć dla nich najwłaściwszą funkcję we współczesnych czasach.

— Jak TPE widzi swoją rolę w zachowaniu łódzkiej tradycji?

— Warto tu może podkreślić, że fakt powstania Muzeum Historii Miasta Łodzi znaczenia radykalnie wszelkie dążenia do zachowania tradycji, jej utrwalenia i nadania jej właściwego wymiaru. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi będzie związane z Muzeum



Fot. W. Parys

siebie — to starał się, aby jego dzieci posiadały tę wiedzę.

— A zainteresowanie sztuką?

— Nazwałem to tak umownie, choć — w moim przekonaniu — nie ma w tym przesady. Na Chojnach, gdzie urodziłem się, gdzie chodziłem do szkoły, gdzie się wychowywałem, pamiętam jak w wielkiej głorii chodził, jak byli podziwiani ci, którzy umieli grać na skrzypcach, na harmonii, czy harmonii pedałowej. Oni byli nie tylko potrzebni, bo grali na weselach, chrzcinach, imieninach i zabawach, ale byli o tyle lepsi, że potrafili coś więcej. Umieeli zaspokajać ludzkie tęskno-

Historii Miasta nie tylko tym, że będziemy mieszcili się w jednym gmachu, ale i tym, że będziemy koordynowali nasze wspólne dążenia i wysiłki.

Sprawa łódzkiej tradycji jest jednakże sprawą dość skomplikowaną. Chciałbym tu może pokazać na przykładzie nazw łódzkich ulic. Dzisiejsza ulica Narutowicza nazywała się kiedyś ulicą Dzielną i miało to swoje uzasadnienie w tamtejszej zabudowie. Nazwa ta, podobnie jak nazwy ulic: „Wschodnia, Zachodnia, Przejazd, Nawrot” — są nazwami historycznymi, wiążą się one z żywiołowym rozwojem miasta. Powstaje problem: czy przy-

inicyjatywy lokalne. I to są cechy tego nowego społeczeństwa Łodzi, które dopiero powstaje, które kształtuje się w procesie szybko zachodzących przemian.

— Łodzianie, choć nie negują tego, że w ostatnich latach w mieście dokonało się wiele różnych przeobrażeń, są jednak czasem niezadowoleni, że zrobili to tak mało. Czy nie uważa Pan, że jest w tym twórcza siła?

— Tak, ale pod warunkiem, że to niezadowolone przeobrazi się w nowe inicjatywy, pomysły, w nowe poczynania. Inaczej będzie to tylko malkontentstwo. A nie o to chodzi.

„BARBARZYŃCA W SZKOLE”

Lektura rubryki „Polemiki — Listy” stanowi moją pozycję nr 1, od której zaczynam czytanie „Odgłosów”. Dzięki temu dotarłam do 42 i 43 numeru „Odgłosów”. Taka kolejność postępowania być może wpłynęła na mój tok rozumowania przez pryzmat polemiki.

— List nadesłany przez „Nazwisko i adres” uderza swoją rzeczowością argumentacji i może nieco złościwością, ale takie już są reguły polemiki. Jacek Indelak „rozprawia się” przez Jaceka Indelaka z Lauszem. Nie powiniemy wiedzieć, że „z głupim nie ma co dyskutować”. Ale moim zdaniem jest to po prostu niedocenianie przeciwnika. Bo prawda jest nieco inna. Nie można przyjąć wyjaśnienia Jaceka Indelaka w D. 1, że przekreślenie tytułu to drobniaczek. A że pomyłka w tytule to sprawa poważna i znacząca, wystarczy przytoczyć dwa tytuły: „Noce i dnie” oraz „Dnie i noce”. Niby drobniaczek, bo obie powieści dotyczą tego samego tematu, miary czasu, ale różnica w tematyce i autorstwie jest kolosalna. Także i drugi punkt argumentacji budzi pewne zastrzeżenia. Otóż definicja metody nauczania podana jest przez Jaceka Indelaka za Lauszem. Nie powinna być ona uważana za definicję totalną, gdyż na str. 208 „Podstawowych problemów współczesnej metodyki nauczania” Lausz zamieścił następujący tytuł podręcznika: „Koncepcja (metoda) indukcyjna”. Z moich notatek uniwersyteckich wynika, że „koncepcja i metoda” w powyższym zestawieniu to jedno i to samo, a przecież tak nie jest.

W p. 3 Jacek Indelak zarzuca swojemu przeciwnikowi, że generalizuje swój indywidualny przypadek nieuczniestnie rozciągając go na szeroką rzeszę nauczycieli... Przecież można chyba sprawdzić, ilu studentów — nauczycieli zostało zwolnionych z zajęć praktycznych z metodyki, ale Jacek Indelak tego nie zrobił. W konsekwencji okazało się, że nauczyciele studiujący filologię polską robią wszystko, aby uniknąć „kompromitacji” na zajęciach praktycznych z metodyki. Tylko, że w tym przypadku to chyba autor „Barbarzyńcy” wie najlepiej.

W p. 4 Jacek Indelak na skutek zwykłego rozstrągnięcia nie zauważył, że autor polemiki słusznie spostrzegł, że „o ważności jakiejś dyscypliny naukowej decyduje także ilość prac związanych ściśle z tą dyscypliną”. Wyraz „także” znaczy w tym kontekście tyle, co „jeden z wielu składników”. A porównywanie kanarków do prac Klemensiewicza, Krzyżanowskiego, Lempickiego, Szobera czy Szymszkowskiego, zajmujących się metodyką nauczania języka polskiego jest trochę w złym guście, gdyż zestawienie bibliografii prac o kanarkach i metodyce nauczania języka polskiego stawia wielki znak zapytania przy metodyce nauczania jako nauce.

W p. 5 odwołujemy się do Jaceka Indelaka o bieżącą 350.000 egzemplarzy na metodykę nauczania języka polskiego nie zniechęcać, bądź nie dźwignię z nim metodyki nauczania języka polskiego, gdyż każda nauka ma swój ponadczasowy i ponadludzki charakter.

Duża bibliografia prac o metodyce nauczania języka polskiego pozwala przypuszczać, że nauczyciel ma co czytać. Jedyny kłopot wiąże się z tym, że większość prac jest rozproszona po czasopiśmie i dlatego polemicy nie udało się znaleźć słusznie zauważyć, że nakłady książek metodycznych są zbyt małe. Dlaczego już od trzech lat nie można kupić dwóch podstawowych książek o metodyce nauczania języka polskiego w szkole podstawowej i średniej?

Całkowicie zgadzam się z wypowiedzią owego polemisty, który swoją rzeczowością budzi większe zaufanie, tym większe, że oparte praktyka Studia uniwersyteckie, które dają przyszłemu nauczycielowi tylko ogólny pogląd na metodykę nauczania, gdyż właściwa praca nad metodyką zaczyna się dopiero w toku pracy zawodowej. Niestety, to cztery składniki wymienione przez polemistę, powołując się na daną pracę nad ciągłym doskonaleniem indywidualnego warsztatu pracy. Dobrze się stało, że „Odgłosy” podjęły ten temat. Jest to tym bardziej cenne, że za dwa lata otrzymamy dyplomy pierwszobabskiej filologii polskiej o specjalizacji nauczycielskiej. Może redakcja zachęcałaby, zwłaszcza specjalistów w tej dziedzinie, do zabrania głosu w sprawie metodyki. W świetle nadchodzącej reformy szkolnictwa byłoby to głosu niezwykle interesujące, a korzyści z takiej rozszerzonej dyskusji z udziałem wybitnych metodycznych oraz pracowników naukowych odnieśliby przede wszystkim nauczyciele i uczniowie.

MARIA BOZEK (Bełchatów)

„RZECZ POETYCKA”

Upieram się prozę o zamieszczenie na łamach „Odgłosów” listu, jaki 9. XI. 1973 r. skierowałem do dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego:

„Szanowny Panie Dyrektorze! W ostatnim czasie Wyd Łódzkie wydało książkę z serii „Rzecz Poetycka” pt. „Środowisko”, która jest monografią łódzkiego środowiska poetyckiego. Na okładce książki znajduje się informacja o poprzednich książkach z tej serii. Tak się złożyło, że prawie wszystkie te książki zawierały moje wiersze bądź recenzje z wydanych przeze mnie zbiorów poetyckich, natomiast w książce monograficznej znalazłem całkowicie pominięty.

Jestem łodzianinem, autorem kilku zbiorów wierszy, z których dwa wyszły nakładem Wyd Łódzkiego. Od roku 1961 należę nieprzerwanie do Łódzkiego Oddziału Związku Literatów. Moja twórczość poetycka jest ściśle związana z Łodzią, co podkreślił zgodnie wszyscy recenzenci. Także w zbiorze „Ziemia Białostocka i inne wiersze”, wydanym nakładem Wyd. Lubelskiego w czasie mojej okresowej bytności w Lublinie — pomieściłem cykl wierszy łódzkich, co pokwitowała w swoim czasie prasa łódzka. W Słowniku „Poeci pisarze współcześni” Lesława M. Bartelskiego zostałem określony jako łódzki poeta i przede wszystkim poeta łódzki, podobnie potraktowano mnie w wydanym w ub. roku przez Miejską Bibliotekę im. Warwńskiego przeglądzie „Pisarze Łodzi i ich książki”. Trudno przypuszczać, by redaktorzy książki „Rzecz Poetycka — Środowisko” o tym wszystkim nie wiedzieli, czym więc kierowali się, przemilczając w pierwszej i jak dotąd jedynej w Trzydziestolecie książce monograficznej łódzkiego środowiska poetyckiego, moją poetycką dorobek? Mam nadzieję, że Pan Dyrektor udzieli mi w tej sprawie odpowiedzi. Z wyrazami poważania —

TADEUSZ GIGIER

„CENTRUM TAJNEGO FRONTU”

Czytam regularnie „Odgłosy” i zbieram odcinki opracowania A. Białera „Centrum tajnego frontu”. Niestety, nie udało mi się nabyć w Lublinie 2 numeru z br. z dnia 8 stycznia z XII odcinkiem.

W Łodzi jest zapewne zwrotowania „Ruch” gazet i czasopism (tak jak w Lublinie). Zwracam się z gorącą prośbą o przekazanie tam mojego listu z prośbą o nadanie mi wymienionego brakującego numeru „Odgłosów” za załączeniem pocztowym.

Złączę pozdrowienia dla Redakcji

RYSZARD MIZERSKI (Lublin)

5

TRADYCJA
i współczesność

„PAPIEROWY KSIĘŻYC” jest trzecim oglądanym a nas filmem Petera Bogdanowicha, Amerykanina jugosłowiańskiego pochodzenia, którego talent okazuje się jedną z najświeższych gwiazd na firmamencie kina z Oceanu. „Papierowy księżyc” potwierdza to, co zapowiadał „Ostatni seans filmowy” i gawoga komedia „No i co, doktoru?”. Filmy Petera Bogdanowicha charakteryzuje jeden rys szczególny, są wyrazem kontynuowania i dyskontynuowania tradycji, która określała autonomizm dzieła sztuki filmowej. Bogdanowich swój szacunek i przywiązanie, zwłaszcza do amerykańskiej tradycji filmowej manifestuje sam: „Poszukiwania i eksperymenty amerykańskich awangardystów filmowych pozostawiają mnie obojętnym i zimnym. Kocham tradycję i chciałbym być jej kontynuatorem”. Że jest to prawda dowodzą jego kolejne filmy, które ową miłość i jej intencje potwierdzają, będąc wyrazem dojrzałej autoświadomości sztuki filmowej, a także jej społecznego postępowania.

Najpełniejszym tego dowodem był niewątpliwie „Ostatni seans filmowy”, utwór, którym Bogdanowich zebrał nie jako pewien młodzieńczy okres cywilizacji XX wieku, której jednym z elementów był czas kina. Jednocześnie film ten związany z tradycją ujawnia nie tylko poprzez przyjętą stylizację, był przede wszystkim manifestacją wiary w wychowawczą funkcję sztuki, wiary mało dziś popularnej. Był wreszcie własną propozycją kina wysokich wartości moralnych.

Komedia „No i co, doktoru?”, pozornie blachostka wyrosła na fall „retro”, w istocie swej jest ujawnieniem tego, czym owa fala jest dla sztuki kina. Między innymi dzięki niej kino przeżywa dziś okres samooceny i wspomnianą wyżej autoświadomości. Pojawiają się filmy, dla których punktem odniesienia są dzieła kina i ukształtowane w nich własne, autonomiczne konwencje. Są to filmy, których smak jest nowy, filmy, w których miłośnicy kina odnajdują tradycje, których źródła nie trzeba szukać wśród sztuk innych, są własne — filmowe. I tak np. „No i co, doktoru?” traktować można jako swoistą antologię dzieł amerykańskiej komedii, jako ukłon złożony jej mistrzom.

Z pewnym opóźnieniem wobec daty premiery oglądamy dziś film „Papierowy księżyc”, który stał się potwierdzeniem tego, że Bogdanowich konsekwentnie krociwy wybrał przez siebie drogą. „Papierowy księżyc” jest jakby próbą zatrzymania czasu, który z takim smutkiem żegnał w „Ostatnim seansie filmowym”. I nie chodzi tu o czas konkretny, o owe lata pięćdziesiąte z „Ostatniego seansu”, czy lata trzdzieste z „Papierowego księżyca”. Chodzi o pewien czas sztuki kina, o pewną jej epokę. Był to może czas naiwny, czas niepełnej jej dojrzałości, był to jednak czas ufności i wiary, że sztuka działa oczyszczająco, że czyni ludzi dobrymi, że ma im pomagać, czy tylko rekompensować to, co w życiu nieosiągalne i niemożliwe. Za te ostatnie intencje atakowano ongiś „fabryki snów”, ale te „sny” były i chyba są ludziom potrzebne. Sztuka kina dozwalała, starała się od snów uciekać i, chwala jej za to, jednak... nie tak jak kino nie może zadostępnym prostym ludziom tęsknotom. Peter Bogdanowich zdaje się o tym pamiętać i z tej dawnej tradycji bierze to, co w niej było najpiękniejsze, przydając temu szlachetność myśli i stylu, na którą stać współczesne kino.

W „Papierowym księżycu” odnajdujemy stary motyw amerykańskiej literatury i kina — motyw ludzki na szlaku; motyw wędrowni, która nie wie gdzie do celu, choć może jest on jej intencją. Ta wędrownica staje się jedyną możliwą formą życia. Motyw ten znamy od pierwszych filmów Chaplina, po „Stracha na wróble”, przybiera on formy opowieści komediowych i tragicznych, jest niejako symbolizmem dla krytyki i analiz dotyczących wewnątrz społecznych problemów amerykańskiego społeczeństwa. W ujęciu Bogdanowicha pozbawiony jest tonacji tragicznej, co wcale nie jest jedynym z tym, że opowieść o małej Addie i jej papie-ozuszu. Jest to tylko komedia. Komizm tego filmu ma swój rodowód w komizmie tradycji chaplinowskiej, której śmiech przepojony jest bezgranicznym smutkiem.

Peter Bogdanowich, rozmiłowany w tradycji twórcy współczesny, posługujący się znakomitym warsztatem realizatorskim, rezygnuje w tej opowieści z brutalnego realizmu, który jest znakiem czasu dzisiejszego kina. Powraca do starych konwencji, bo znajduje w nich inną siłę obrazowania i perswazji, jego zdaniem zapewne, trafiająca jednak do ludzi współczesnych. Może nawet jest ona skuteczniejsza niż operowanie arsenalem środków, jakimi posługuje się dzisiejsze kino. Jest to siła odwołująca się do nastrojów i emocji, siła ujawniona w klimacie kina, która zdawała się być już tylko historią. Jednocześnie Peter Bogdanowich faworyzuje charakterystyczny dla współczesnej sztuki sposób oddziaływania na widza, który nie lubi być poczynany wprost, lecz zmuszany przez sztukę do aktywności przeżycia i interpretacji. Bawiąc się przegodami i pomysłami pary niezwykłych oszustów w znakomitej interpretacji bohaterów „Love story” Ryana O'Neal i jego genialnej wdost córki Tatam O'Neal, myślimy o wielu sprawach nie zawsze z zahawą mających wiele wspólnego, myślimy zwłaszcza o potrzebie uczuć.

ŻYCIORYSY

Opowieści prawdziwe opublikowane w numerze świątecznym pt. „Okruchy losów” spotkały się z zainteresowaniem naszych Czytelników. Znalazło to wyraz w wielu listach i telefonach. Doszedłem więc do wniosku, że o niektórych sprawach zaszyfrowanych w poprzedniej publikacji warto opowiedzieć nieco szerzej. Pomijając listy komentujące autora, jako nie wnoszące nic do sprawy, zatrzymam się na listach z pytaniami i sprostowaniami.

Otóż niektórzy Czytelnicy piszą, iż popełniłem pomyłkę mianując ojcem Rudolfa Modrzejewskiego — Gustawa Zimajera, choć wiadomo, że „ojcem” był Karol Chłapowski, mąż Heleny Modrzejewskiej. Ponadto — piszą nam korespondenci — młody Rudolf urodził się właśnie w Krakowie, a nie w Bochni.

Otóż pierwsze stwierdzenie jest nieprawdziwe. Karol Chłapowski był drugim mężem Modrzejewskiej. Niebawem nakładem PIW ukaże się książka Józefa Szczublewskiego pt. „Żywoć Modrzejewskiej”. Myślę, że ta źródłowa i rzetelna publikacja rozwieje szereg wątpliwości, niejasności i legend narosłych wokół postaci wielkiej polskiej aktorki.

Nawiasem mówiąc sformułowanie, że Chłapowski był drugim mężem Modrzejewskiej też nie jest zbyt ścisłe. Z Gustawem Zimajerm bowiem nie miała przecież ślubu, choć miała dwoje dzieci. Uciekła wreszcie od niego po śmierci córki Marii i zaangażowała się do teatru w Krakowie. Jako ciekawostkę podać warto, że ówczesny dyrektor tego teatru, hr. Adam Skorpuka, postawił się o... policyjną ochronę swojej aktorki, by ją ustrzec przed natarczywością Zimajera. Ten zresztą nie tyle walczył o swoją żonę, co o najlepszą aktorkę swojego zespołu.

Póki co jednak przypomnijmy sobie, że Helena Opid, która przysłała na świat... w cztery lata po śmierci legalnego męża swojej matki, nosiła to nazwisko, bo dał je nieślubnemu dziecku przyjaciel wdowy, Michał Opid — muzyk i aplikant przy senacie Rzeczypospolitej Krakowskiej. Helena uważała go za ojca, chociaż wówczas plotkowano w Krakowie, że prawdziwym ojcem przyszłej aktorki był książę Eustachy Sanguszko.

Kiedy Helena miała lat dwadzieścia, związała się ze starszym od niej o piętnaście lat Gustawem Zimajerm, z którym miała syna Rudolfa. A skąd nazwisko Modrzejewska?

Juliusz Kydryński w swojej książce „Gwiazda dwóch kontynentów” opisuje tę historię. Jest to oczywiście literacka fikcja, ale oparta o rzetelne materiały i dokumenty, m. in. o wcześniejsze prace na temat Modrzejewskiej Józefa Szczublewskiego.

A więc Kydryński pisze:

„Słuchaj pan — powiedział po prostu Łobojko — jutro pojedziemy razem do Krakowa. Otrzymanie licencji na stworzenie obłądzonej trupy teatralnej uzyskuje się teraz, o ile wiem, bez specjalnych trudności. Ostatecznie jest pan zawodowcem, dostanie ją pan na pewno. A ja już zadbam o administrację i finanse. Może pan być spokojny, że na tym nie wyjdziemy. I będziemy sobie jeździć po całej Galicji. Pan wie, że moja Helena od razu stała się tutaj atrakcją. Ona będzie gwiazdą naszego zespołu. Już ja się postaram także o reklamę. A i sam mogę nawet od czasu do czasu wystąpić w jakiejś niedużej roli, gdybyśmy mieli kłopoty z obsadą. Pan doskonale wie, jak to jest: o mężczyznach zawsze trudniej w teatrze niż o kobietach.

— Ależ świetnie, genialnie, wspomniał! — zachwycił się Łobojko z nieco kabotyńską przesadą. Nagle spoważniał.

— Tylko że... wie pan, co, panie Gustawie — powiedział — skoro już mamy razem jeździć po tej Galicji, to pomyślałem sobie w tej chwili... no cóż, pomyślałem sobie, że dobrze byłoby, gdyby pan i pani Helena... hm, no, wie pan, jacy są ludzie, już w Krakowie przecież, pamiętam, były rozmaite gadania i te...



Foto Archiwum

Zimajer słuchał w milczeniu, nie miał zamiaru niczego Łobojko ułatwiać, choć doskonale wiedział, o co mu chodzi.

— Włecz... — Łobojko w końcu jakby się przemógł i powiedział z nagłą decyzją: — „włecz trzeba, żebyście obydwójcie nosili to samo nazwisko. Po prostu — pseudonim sceniczny, ale kto to będzie wiedział czy to pseudonim, czy prawdziwe. Ja wam już nawet to nazwisko wymyśliłem! — zawołał z triumfem, lecz natychmiast rozglądając się dookoła w obawie czy przypadkiem nie krzyknął za głosem. Siedział w małej bocheńskiej cukierce, zupełnie zresztą pustej o tej południowej porze.

— Bardzo ładne nazwisko — dodał już spokojnie.

— Jakże? — spytał Zimajer z zalekaniem. Ani mu przez myśl nie przeszło kwestionowanie słuszności poglądu Łobojki.

— Modrzejewscy — powiedział Łobojko. — Helena Modrzejewska, Gustaw Modrzejewski. Prawda, że ładnie?

— Ładnie, drogi panie Konstany — powiedział Zimajer ciepło. — Heł! na pewno się spodoba.

Dwaj mężczyźni wstali i mocno uściskali sobie dłonie. Łobojko wyszedł, Zimajer posiedział jeszcze przez chwilę, pogrążył w myślach. Nie musieli

Tym razem jednak przypomnę charakterystyczną anegdotę na temat Jerzego Kossaka, anegdotę, bodaj Boya-Zeleńskiego, choć nie jestem dziś już w stanie odszukać publikacji w której ją znalazłem.

Otóż Jerzy Kossak miał ponoć stały motyw malarski, bardzo popularny i pokupny tuż po odzyskaniu niepodległości. Rzecz bowiem działała się na początku dwudziestolecia międzywojennego. Plotka głosi, że ów motyw Kossak powielał niezliczoną ilość razy. Temat „Ulan i dziewczyna”. Były dwie wersje tego obrazu: droższa — „Ulan i dziewczyna” w upalnej południe oraz tańsza: „Ulan i dziewczyna” o poranku.

Dlaczego tak? Otóż „południe” malowało się dłużej. Trzeba było zrobić to, pejzaż, las lub pole na horyzoncie, chmury na niebie i tym podobne detale. Natomiast „poranek” był tańszy, bo łatwiejszy. Artysta malował... mgiełkę jako tło i na pierwszym planie ulana i dziewczyna.

Jerzy Kossak głowę do interesów odziedziczył po ojcu, niestety — nie odziedziczył jego talentu. Dowodem handlowego zmysłu Wojciecha Kossaka może być historia panoramy „Przejście przez Berezynę”, namalowanej wspólnie z Juliuszem Fałatem w ciągu szesnastu miesięcy w latach 1894-1896. „Berezynę” wystawiono w Berlinie, potem w Warszawie, Kijowie i Moskwie. Parę lat później, w roku 1907, panoramę (wymary: 15 m wysokości, 120 m w obwodzie) pocięto na fragmenty i po pewnych przerób-

„Ta kilkunastoletnia wówczas pociecha poety (...) była ciemnym blondynkiem o już szorstkim głosie i bardzo niemiłym spojrzeniu „spode łba”. Miał oczy zdradzające złe instynkty”.

Oczywiście takich opinii na temat syna poety jest wiele, być może nawet, że one przeważają. Ale ja wolę mieć zawierzyć opinii Mieczysława Smolarskiego, który małego Kazia znał lepiej od pani Starzewskiej czy pana Chybińskiego, był przecież nauczycielem syna poety... I który pisze o nim tak właśnie — ze współczuciem i zrozumieniem — i tę opinię przekazałem w poprzedniej opowieści.

A dlaczego? Proszę bardzo, Pani Starzewska (córka kompozytora Zygmunta Noskowskiego) znała oczywiście Tetmajera, bo ktoś go w owym czasie nie znał! Pan Chybiński? Owszem, znany profesor muzykologii (zm. 1952), ale — jak pisze dr K. Jabłońska — „stosunkowo w zażyła znajomości łączyla go z poetą w okresie pierwszej wojny światowej”. Skąd więc miał znać te prywatne sprawy z okresu dwudziestolecia?

A Mieczysław Smolarski? Jego łączyla z Tetmajerm „wieleletnia zażyła znajomość rozpoczęta już w latach pierwszej wojny”. Jemu w sprawach biografii Tetmajera wierzyć można a p r a w d e.

A jak było? Jaka jest o b i e k t y w n a prawda? Nigdy się tego nie dowiemy, bo tajniki głęboko tragicznych, ludzkich osobistych spraw to nie tabliczka mnożenia, która zawsze daje wynik mówiący, że dwa razy dwa jest cztery.

W życiu bywa jednak czasem trzy a czasem trzynastka.

Pozostała jeszcze sprawa Marii Konopnickiej. Ktoś z Czytelników uznał za stosowne wystąpić w obronie niezrozumianej córki (Heleny — kleptomanki), atakując... matkę. Sprawa ta nie była ówczesnie zbyt głośna, dopiero po latach zaczęto nieśmiało i anonimowo wspominać, że ktoś tam się zastrzelił „z winy Konopnickiej”. Wyczerpująco i rzetelnie opisała tę sprawę dopiero Krystyna Kolińska w swoich „Tajemnicach na sprzedaż” (Wyd. Iskry — 1968).

Posłuże się więc tekstem Kolińskiej, która opisała historię tragicznej miłości Maksymiliana Gumplowicza (lat 30) do Marii Konopnickiej (lat 55). Oto, co napisał ojciec Maksymiliana do swego przyjaciela, w sierpniu 1895 roku:

„Szanowny Panie Doktorze!

Syn mój, Maksymilian, z Pragi wybiera się do Pana. Ufam w znaną mi bystrość umysłu Jego, że rozpozna wnet sytuację. Maksymilian, 30-letni dzieciak, zażyczył się w starej babie Konopnickiej i gniewa się na rodziców, że mu oni nie pozwalają „znieść się” z nią (od czego ona by nie była?!). Liczę na przyjaźń Pana dla niego i dla mnie, że mu Pan wybieje z głowy to głupstwo. Proszę list ten zachować w tajemnicy. Byłbym content, gdyby Maks w Cieszinie najawsz sobie pokój, został się dłuższy czas, żeby mu trochę to głupstwo z głowy wywietrzało, do czego, nie wątpię, rozmowy z Panem przyczynią się.

Przepraszać Pana muszę, że Go wtajemniczam w taką awanturę, łącząc wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

Sluga Gumplowicz”

Niestety — lub na szczęście — bo czymże byłoby nasze szare życie, uczucia ludzkie chadzają drogami znanymi tylko sobie. Młody Maksymilian jest wprost nieprzeżywalnie zakochany w brzydkiej — o 25 lat starszej — matce sześciorga dzieci.

Nie pomogły zabiegi przerazonego ojca, aby syna wyleczyć z tego — jak pisze — „waryactwa”. Tropi Konopnicka, jeździ za nią wszędzie, wyszukuje notatki w gazetach, mówiące o wielkiej poetce. Wreszcie przyszedł pod hotel (a było to w Grazu, 28 listopada 1897 roku), gdzie mieszkała Konopnicka. W kieszeni miał rewolwer. Nikt nie wie czy rozmawiał z poetką, czy widziała go przedtem, zanim padł strzał — prosto w serce.

Ale znów, jak to było naprawdę? Ze znali się przedtem — to pewne. Lecz w listach Konopnickiej po śmierci Maksymiliana ani śladu jakichkolwiek reakcji. A potem żadnej konkretnej wzmianki. Czyli — jak pisze Kolińska — „dyskretna zainteresowanych rodzin, troska ówczesnych świadków, aby broń Boże, na jednolitym obliczu poetki, „pieśniarki chłopskiej niedoli” nie pojawił się nieodpowiedni rys?”.

Więc nie wiadomo na pewno i do końca, jak to było z tą samobójczą śmiercią. Anonimowy autor listu w tej sprawie czytał zapewne książkę Krystyny Kolińskiej, ale czytał ją nie uważnie. Nie przyjął do wiadomości zastrzeżeń i wątpliwości — zrozumiał jedynie fakturę sensacji.

Dlatego też chcę powtórzyć raz jeszcze to, co pisałem w zakończeniu „Okruhów losów”. Nie o tanią sensację mi chodzi, tylko o fakt, że siła literatury i sztuki jest to, iż twórcy wpisani są w normalne, ludzkie losy. I z tych losów — swoich i losów swoich najbliższych — rodzi się kształt sztuki przemawiającej do zwykłego człowieka. W imię tej prawdy zebrałem okruchy losów niektórych polskich artystów, aby raz jeszcze uświadomić wrażliwemu czytelnikowi, że sztuka powstaje w radości tworzenia i udręce codzienności.

JERZY WILMAŃSKI

OKRUCHY LOSÓW

-CIAĞ DALSZY

to być myślił niemiłe, skoro od czasu do czasu uśmiechał się sam do siebie.

Działo się to w sierpniu 1861 roku.”

A teraz sprawa miejsca urodzenia Rudolfa. To prawda, że Wielka Encyklopedia Powszechna wskazuje na Kraków: Istnieje wszakże inna publikacja, do której można mieć większe zaufanie niż do pełnej błędów i przeinaczeń Wielkiej Encyklopedii. Tą publikacją jest dwutomowa edycja „Wspomnień aktorów” (PIW, 1963) wydana w serii: „Biblioteka Pamiętników Polskich i Obcych” pod redakcją Wacława Zawadzkiego. I tam właśnie wskazana jest Bochnia, jako miejsce urodzenia przyszłego wybitnego konstruktora i budowniczego.

Inni czytelnicy natomiast zapytują czemu pisać o rodzinie Kossaków nie wspominałem o jeszcze jednym malarzu tego nazwiska. Oczywiście — oprócz Juliusza i Wojciecha był jeszcze Jerzy Kossak, syn Wojciecha, brat poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i pisarki Magdaleny Samozwaniec. Nie włączając jednak w niczym jego pamięci, trzeba stwierdzić, że był to najmniej udany malarz w tej artystycznej rodzinie. Można chyba powiedzieć, że odcinał on kupony od kapitału sławy ojca i dziadka. Nie figuruje on w żadnej poważnej encyklopedii, a w olbrzymim dziele Tadeusza Boya-Zeleńskiego „O Krakowie” nawet w indeksie nazwisk liczącym dziesiątki pozycji — Jerzy Kossak nie wymieniony jest ani razu, choć wymienia się tam zarówno ojca, dziadka jak i obie siostry.

Nie był to więc malarz wybitny, o czym zresztą może i należało wspomnieć, ale publikacja mogłaby się wówczas rozrastać w nieskończoność i zapewne zabrakłoby na nią miejsca nawet w 20-kolumnowym numerze „Odgłosów”.

kach sprzedano jako oddzielne obrazy. Warto też dodać, że Wojciech Kossak już w trakcie malowania „Berezynę” dbał o swoje prawa autorskie do całego dzieła. Umieścił bowiem w różnych miejscach olbrzymiego płótna aż... piętnaście swoich podpisów. Tak więc „Berezynę” w kawałkach sprzedał Kossak sam, przemalowując jałnemi fragmenty malowane przez Fałata i innych swoich współpracowników.

Tyle na temat Kossaków. Oczywiście można by więcej, bo — jak pisałem w pierwszej części „Okruhów losów” — o rodzinie Kossaków dałoby się napisać osobną epopeję. Ale po co, skoro taka epopeja została już napisana. Ciekawych odsyłam do wspomnień samego Wojciecha Kossaka, wydanych także po wojnie nakładem oficyny PAX oraz do wspomnień Magdaleny Samozwaniec, („Maria i Magdalena” i „Zalotnica niebieska”).

Wielu czytelników ma także pretensję o idealizowanie postaci syna Kazimierza Tetmajera. W listach powtarzają się opinie, że syn poety był wykojeńcem i w ogóle złym człowiekiem, który Tetmajerowi zatrul najtrudniejsze lata życia, kiedy sława gwiazdora Młodej Polski zaczynała gasnąć.

No cóż, na to trudne i powikłane sprawy można różnie patrzeć. Najśluszniej chyba zrobiła dr Krystyna Jabłońska wydając (nakładem Wydawnictwa Literackiego) „portret wielokrotny” Tetmajera, złożony z ponad stu fragmentów wspomnień różnych autorów. W tych wspomnieniach różni autorzy piszą na ten temat bardzo różnie. Aniela Starzewska na przykład wypowiedziała opinie, że „ten ukochany synek będzie przyczyną tylu zmartwień i tragedii nieszczęśliwego ojca...” Adolf Chybiński pisze tak:

Obecna rzeczywistość stosunków międzynarodowych oraz międzynarodowego ruchu komunistycznego kształtuje się pod wpływem tak rychłych zmian, w których występują zarówno obiektywne jak i subiektywne, racjonalne i irracjonalne czynniki, że jest prawie niemożliwe przewidzieć szczegółowy rozwój wypadków, tym bardziej że chodzi o dość odległą perspektywę czasu. W tej sytuacji należy jedynie skoncentrować się wyłącznie na tych procesach, które mają największe prawdopodobieństwo rozwoju.

Jednocześnie nie wolno zapomnieć, że najbliższe dziesięciolecie będzie okresem ciągłej się pogłębiających tendencji odprężeniowych, szczególnie na osi Wschód-Zachód. Będzie to okres ogólnoswiatowego pokoju, w którym należy wykluczyć możliwość militarnej konfrontacji między dwoma wielkimi mocarstwami, co równocześnie nie oznacza wcale, że w praktyce istnieje realna możliwość wojen lokalnych, rzecz oczywista o ograniczonym charakterze, których źródłem mogą być między innymi nacjonalistyczne tendencje w „krajach trzeciego świata”. Równocześnie okres ten będzie się charakteryzował intensyfikacją współzawodnictwa między socjalizmem a kapitalizmem, szczególnie na płaszczyźnie ideowo-politycznej.

USA — EUROPA

Nowy układ sił w świecie oznacza dla polityki Stanów Zjednoczonych nieustanny wzrost kosztów wynikających z chęci utrzymania pozycji supermocarstwa o aspiracjach globalnych. Proces ten zarówno w uwagi na rozwój sytuacji wewnętrznej USA jak i na konieczność wywiązań zagranicznych, będzie coraz bardziej wyraźny. Należy się więc liczyć z możliwością ograniczenia wpływów USA w „świecie zachodnim” — potencjał gospodarczy i militarny Stanów Zjednoczonych będzie zmuszony do ograniczonego zakresu swego działania szczególnie w Europie zachodniej. Transfer amerykańskiego dolara, eksport nowoczesnych technologii i technik zarządzania będzie wykazywał trend zdecydowanie malejący. Równocześnie będzie wzrastać w bardzo szybkim tempie znaczenie polityczno-gospodarcze krajów „trzeciego świata” o dużych zasobach surowcowych. Wydaje się, że w tej sytuacji Stany Zjednoczone koncentrować się będą jedynie na penetracji wybranych regionów świata, istotnych dla interesów gospodarczych, politycznych czy też militarnych, jak np. Bliski Wschód, czy też wybranych obszarów Ameryki Łacińskiej.

Nowe cechy sytuacji międzynarodowej powinny spowodować poważne przeobrażenia w światowym ruchu socjaldemokratycznym. Dotychczasowa ewolucja partii socjaldemokratycznych w tak ważnych kwestiach, jak bezpieczeństwo europejskie, odprężenie międzynarodowe, czy współpraca gospodarcza stanowią wprawdzie istotny, lecz pierwszy dopiero krok na drodze do pełnej normalizacji stosunków. Politykę tę cechuje jeszcze wiele niekonsekwencji, próba powrotu do dawnego kursu, niechęć do utrwalenia pozytywnych zmian w sytuacji międzynarodowej. W przyszłości jednak należy się liczyć z dalszymi pozytywnymi zmianami w tym zakresie, szczególnie w tonie socjaldemokracji zachodniemieckiej, austriackiej, szwedzkiej, fińskiej czy wreszcie francuskiej, a więc partii, które odgrywają ważną rolę w życiu politycznym Europy zachodniej.

SOCJALDEMOKRACJA

Na tle narastającego konfliktu Stanów Zjednoczone — EWG w partiach socjaldemokratycznych coraz wyraźniej dają się zauważyć nastroje antyamerykańskie. Istnieją podstawy do stwierdzenia, że zmusi to w przyszłości partie rządzące w Europie zachodniej do bardziej aktywnej obrony narodowych interesów gospodarczych przed silną presją Stanów Zjednoczonych np. ograniczenie działalności wielonarodowych korporacji amerykańskich. Będzie to jednak problem trudny do rozwiązania i drażliwy, szczególnie dla prawicy socjaldemokratycznej, która obawia się różnorodnych konsekwencji tej polityki, nade wszystko jej skutków, jakimi może okazać się zmniejszenie potencjału militarnego USA w Europie.

Warto podkreślić, że socjaldemokratyczna wizja stosunków między EWG a RWPG, w których Związek Radziecki i kraje wspólnoty socjalistycznej byłyby zmuszone w przyszłości do pewnych ustępstw ideologiczno-politycznych w wyniku presji gospodarczej „świata zachodniego” jest całkowicie nierealna. Nadzieje na realizację tych planów — szczególnie wyraźnie występujących w kołach prawicy socjaldemokratycznej — wiążą się z występującym jakoby osłabieniem wpływów politycznych i narastaniem tendencji policentrycznych w tonie wspólnoty socjalistycznej. Rzecz oczywista, że tego rodzaju rachuby pozbawione jakiegokolwiek racjonalnych podstaw muszą ulec zdecydowanemu przewartościowaniu. Już dzisiaj przeczą one intencjom porozumień międzynarodowych w Genewie czy w Helsinkach i w przyszłości nie mają żadnych szans powodzenia.

Istnieją wszelkie przesłanki do stwierdzenia, że pozytywne przemiany w stosunkach — Wschód-Zachód zmuszą międzynarodową socjaldemokrację do bardziej konsekwentnego odcięcia się od reakcyjnych i zimnowojennych kół burżuazji monopolistycznej.

Jednym z najistotniejszych czynników, które przyspieszą proces współpracy socjaldemokracji z ruchem komunistycznym będzie zaostrenie się walki klasowej w państwach rozwiniętego kapitalizmu. Wzrost aktywności i bojowości klasy robotniczej przede wszystkim w Europie zachodniej, powinien zmusić międzynarodowy ruch socjaldemokratyczny do rewizji dotychczasowych koncepcji przywrócenia bardziej radykalnych haseł klasowych, a nade wszystko do rozszerzenia programu reform społecznych. Przywódcy socjaldemokracji coraz trudniej będzie w przyszłości uzasadnić względami ideologicznymi odmowę jedności działania z partiami komunistycznymi.

W przyszłości należy oczekiwać z ruchu socjaldemokratycznym bardziej

działać coraz bardziej ostrej walki o władzę wśród ewentualnych następców Mao-Tse-tunga. W tej sytuacji, Pekin będzie w dalszym ciągu przeciwstawiał się wszelkim propozycjom państw socjalistycznych na forum ONZ, a szczególnie wysiłkom zmierzającym do dalszego rozbrojenia i pogłębienia współpracy Wschód-Zachód. Nie należy oczekiwać aby ChRL przystąpiła do jakiegokolwiek porozumień rozbrojeniowych. Tempo chińskich zbrojeń, szczególnie nuklearnych będzie nadal wzrastać, mimo narastających trudności gospodarczych.

Wydaje się, że konsekwencją tej polityki, będzie dalsze zbliżenie ChRL z NATO i EWG, które w planach kierownictwa KPCh mają stać się ważnym elementem rozgrywki maoizmu z socjalistyczną wspólnotą. Chiny będą jeszcze bardziej popierały wszelkie poczynania integracyjne w Europie zachodniej, która powinna w ich mniemaniu bardziej zdecydowanie przeciwstawić się „supermocarstwowej” polityce Związku Radzieckiego. W ten sposób Pekin będzie chciał otworzyć „drugi front dyplomatyczny” przeciwko ZSRR i europejskim krajom socjalistycznym.

W przyszłości jeszcze bardziej wyraźnie ujawni się skrajnie nacjonalistyczne stanowisko kierownictwa KPCh w kwestii działania, celów i strategii międzynarodowego ruchu komunistycznego. Nie można wykluczać ewolucji stosunków chińsko-radzieckich w kierunku oparcia ich na zasadach polityki pokojowego współ-

spodziewać, że pokolenie to zrodzi wreszcie teoretyka o wielkim formacie, którego brak tak wyraźnie obecnie odczuwamy.

Wzrośnie i to bardzo wyraźnie, wbrew licznym poglądom głoszonym przez zachodnich politologów, rola ideologii, co będzie oczywiście logicznym następstwem zaostrenia się walki na tej płaszczyźnie. Jednocześnie walka socjalizmu i kapitalizmu przenosić się będzie ze sfery produkcji i ilościowej (wzrost ekonomiczny w jego obecnym rozumieniu nie będzie powszechnie przyjmowany za zasadnicze kryterium rozwoju) w sferę jakości, co nastąpi na przełomie lat 70 i 80. Socjalizm ma tu bardzo wyraźny atut do wygrania.

Przy tego rodzaju rozważaniach, rodzi się nieodparcie refleksja dotycząca stosunków wzajemnych pomiędzy krajami, które weszły na drogę budownictwa socjalistycznego. Rzecz oczywista, że jest to zagadnienie wielopłaszczyznowe, w którym chciałabym jedynie zwrócić uwagę na występujące jeszcze pewne niedoskonałości wymagające w przyszłości przezwyciężenia.

W toku kształtowania się wspólnoty socjalistycznej wyłoniło się szereg problemów, które włączy się ze specyficznymi, narodowymi interesami poszczególnych państw i partii (są one m. in. konsekwencją zróżnicowanego poziomu społeczno-gospodarczego poszczególnych państw, różnorodną tradycją historyczno-polityczną itp.). Mimo że w długofalowej perspektywie historycznej interesy narodowe w pełni się pokrywają z interesami całej wspólnoty socjalistycznej, to jednak w bieżącej polityce, szczególnie w odniesieniu do niektórych zagadnień polityczno-gospodarczych były i są możliwe pewne sprzeczności między poszczególnymi państwami socjalistycznymi. Sprzeczności, które z istoty swojej mają charakter nicantagonistyczny. Jest to zjawisko normalne o ile odczytanie nie wykracza poza ściśle określone granice — interesów wspólnoty socjalistycznej jako całości.

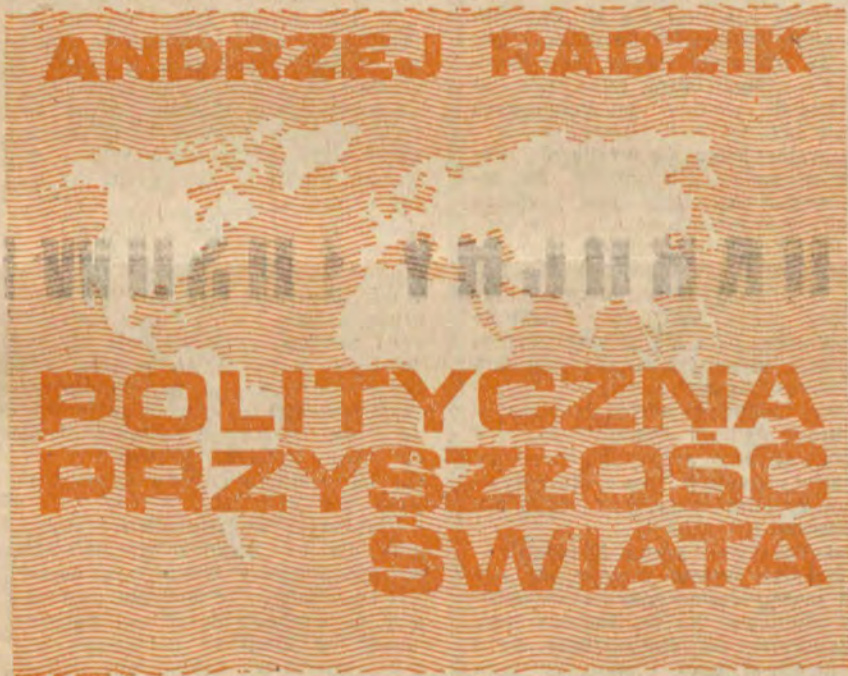
Warto natomiast zwrócić uwagę na to, że wyolbrzymianie specyfiki narodowej, absolutyzowanie wyłącznie interesów i potrzeb jednego państwa, z pominięciem interesów państw socjalistycznych jako całości, a ponadto nadawanie stanowisku takiemu walorów wiele uniwersalnych, jest źródłem powstawania trudności nie tylko w tonie wspólnoty, ale także w międzynarodowym ruchu robotniczym i komunistycznym.

Istota interesów obozu socjalistycznego wymaga nie tylko stałego zaciśnienia wizerunku ideologicznego, lecz również stałego doskonalenia mechanizmów współpracy, która będzie w pełni odpowiadać interesom zarówno poszczególnych państw jak i całości obozu socjalistycznego, w konkretnych dziedzinach ekonomii, polityki, kultury itp. Tendencja ta nie może mieć charakteru jednorazowego czy też poczynać kampanijnych, lecz winno to być stałe zadanie i politykę państw socjalistycznych. Realizacja tego zadania jest podstawą niwelowania tego rodzaju sprzeczności, które wypaczają istotę marksistowsko-leninowskiej dialektyki czynnika narodowego i międzynarodowego i są m. in. źródłem tworzenia tendencji rewizjonistycznych i odśrodkowych. Dzięki tak realizowanej polityce, wspólnota socjalistyczna jeszcze bardziej wzmocni swoją pozycję i autorytet na arenie międzynarodowej.

Równocześnie należy z całą wyrazistością podkreślić, że rola Związku Radzieckiego będzie dalej systematycznie wzrastać, szczególnie dzięki realizacji „programu pokoju” uchwalonego na XXIV Zjeździe KPZR.

Dotychczasowe formy współpracy międzynarodowego ruchu komunistycznego będą coraz bardziej doskonałe, zarówno w sferze teorii jak i praktyki. Szczególnie patrie zachodniemieckie będą musiały ściśle precyzować swoje stanowisko nie tylko wobec Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, ale również wobec procesów integracyjnych w sferze życia społecznego i politycznego, które będą w obecnym dziesięcioleciu przebiegać na bazie wspólnoty ekonomicznej, kształtującej się w Europie zachodniej. Wydaje się, że nie należy przewidywać poważniejszych zmian w zachodnio-europejskich partiach komunistycznych. Mając na uwadze ich rozwój ilościowy, nadal będą najliczniejsze dwie partie — włoska i francuska. Pozostałe, np. Komunistyczna Partia Finlandii zwiększy swoje szeregi, ale nie na tyle, aby można było mówić w końcu lat 70 o przełomie w tej dziedzinie. Dlatego umacnianie wszelkich postępów uurtów socjalnych i politycznych spoczywać będzie w dalszym ciągu na krajach socjalistycznych.

Kończąc niniejsze rozważania, chciałabym wyraźnie podkreślić, że są one tylko formą refleksji nad możliwością rozwoju przyszłych stosunków międzynarodowych ze szczególnym uwzględnieniem ruchu robotniczego i komunistycznego.



wyraźnej polaryzacji sił. Lewica socjaldemokratyczna w końcu lat 70 uzyskała zdecydowaną przewagę, szczególnie w większości partii europejskich i Japonii. Zapoczątkowany obecnie wewnątrz socjaldemokracji proces walki z ideologią i polityką antykomunizmu będzie przybierał coraz bardziej na sile. Stanowiąc to będzie kolejny istotny warunek dalszego zbliżenia i współpracy z ruchem komunistycznym.

W CHINACH BEZ ZMIAN

Ale nie tylko prawicoworewizjonistyczne kierunki zostaną zepchnięte do defensywy. Należy wyraźnie się liczyć z coraz mniejszym zasięgiem wpływów maoizmu w krajach „trzeciego świata”, szczególnie w tych regionach, gdzie znajdują się olbrzymie zasoby ropy naftowej, gazu i innych poszukiwanych surowców na rynkach świata. Maoistowskie formuły ideologiczne czy pomoc gospodarcza nie będzie odgrywała większego znaczenia w życiu społeczno-politycznym tych krajów. Teza ta nie przeczy jednak temu, że rola Chin Ludowych będzie wzrastać w biednych rejonach Dalekiego Wschodu, gdzie prawdopodobnie dojdzie do ostrej rywalizacji z Japonią.

W końcu lat 70 nie należy oczekiwać zmian w dotychczasowej polityce kierownictwa Komunistycznej Partii Chin. Wszystko przemawia za tym, że linia polityczna — zarówno w odniesieniu do spraw międzynarodowych jak i wewnętrznych — sformułowana w sierpniu 1973 r. na X Zjeździe KPCh będzie nadal kontynuowana. Jednocześnie należy się spo-

istnienia, tj. na tych samych zasadach, jakie obowiązują w stosunkach między państwami socjalistycznymi a kapitalistycznymi. Skrajnie antyradziecki i szowinistyczny charakter polityki kierownictwa Komunistycznej Partii Chin wyklucza możliwość ustanowienia stosunków na płaszczyźnie marksistowsko-leninowskiej, jakie istnieje pomiędzy KPZR a większością partii komunistycznych i robotniczych. W tej sytuacji pozostaje jedynie cel: formuła pokojowego współistnienia. Polityka ta doprowadzi do pełnej izolacji ChRL i KPCh nie tylko w międzynarodowym ruchu robotniczym i komunistycznym ale również na forum międzynarodowym.

NASZE MIEJSCE

Międzynarodowy ruch komunistyczny przejdzie w najbliższym dziesięcioleciu w nową, wyższą fazę swego rozwoju. Zdecyduje o tym wiele czynników takich jak: dalszy wzrost świadomości społecznej i klasowej szerokich mas na świecie, nowy układ sił politycznych na arenie międzynarodowej, który będzie współdecydował o wypracowaniu nowej strategii i taktyki partii komunistycznych.

Obecne dziesięciolecie zakończy proces odchodzenia z czynnego życia politycznego pokolenia ludzi, którzy swoją praktykę zdobywali w okresie międzywojennym. Kluczowe pozycje obejmą ludzie, których kształtowały doświadczenia II wojny światowej, lata powojenne. Pokolenie tych działaczy na gruncie własnych doświadczeń, będzie jeszcze bardziej wyraźnie akcentować skomplikowane potrzeby XXI wieku. Należy się równocześnie

UDANY DEBIUT

Udany debiut łódzkiej politologii — tak można by ocenić opublikowany przez Uniwersytet Łódzki (1975) tom opatrzony tytułem: „Z badań nad dziejami Polski Ludowej”. Zebrano w nim materiały sympozjum nauk politycznych, zorganizowanego przez Uniwersytet Łódzki, Politechnikę Łódzką, Akademię Medyczną, Wojskową Akademię Medyczną, wyższe szkoły artystyczne miasta oraz Studium Wojskowe UL, poświęconego trzydziściemu wyzwoleniu Łodzi. Konferencja ta odbyła się 28 stycznia 1975 r. Chodzi tu jednak nie tylko o historyczne spojrzenie na dziejowe wydarzenia, które stały się jak gdyby węgielnym kamieniem naszej współczesności. Sympozjum, a także wydawnictwo, przyswiewca również inny, skromniejszy cel: chodziło o zaprezentowanie dorobku działających na wyższych uczelniach studiów nauk politycznych, o integrację środowiska politologicznego działającego na terenie Łodzi.

Ideowe znaczenie badań naukowych nad problematyką trzydziścielata Polski Ludowej podkreślił podczas sympozjum w swym przemówieniu sekretarz KL PZPR — Zbigniew Faliński akcentując potrzebę „obiegowego u-powszechnienia treści socjalistycznej ideologii, a zwłaszcza potrzebie utrwalenia przekonania, że socjalizm jest źródłem wszystkich pozytywnych zmian w losie narodu, w jego życiu materialnym i duchowym”. Taka też jest ogólna wymowa ideowa materiałów, zebranych w omawianym wydawnictwie, zróżnicowanych zarówno pod względem treści, jak i formy, przedstawiających szeroki wachlarz problematyki, od zagadnień ekonomicznych i prawnych, po sprawy kultury i sztuki. Bez wątpienia jest to odzwierciedleniem kierunków zainteresowań autorów, a także aktualnego stanu prowadzonych w łódzkim środowisku politologicznym badań, które znajdują się na różnych etapach zaawansowania. Stąd obok tekstów o charakterze podsumowującym dotychczasowy dorobek naukowy i postulującym dalsze badania — jak referat S. Wolkowiaka i M. Wiktorowskiego — znalazły się zarówno pogłębione studia szczegółowych, ważnych problemów, jak i ujęcia szkieletowe, zarysujące zagadnienia, które w przyszłości winny stać przedmiotem pogłębionej analizy (np. prace T. Jaworskiego). Charakter sympozjum określił, że przeważała w nim problematyka pierwszych lat Polski Ludowej, znalazły się tu jednak teksty o szerszym zakresie, obejmujące całość dziejów trzydziścielata, z konieczności bardziej zarysowe, a także wartościowe studium (E. Ponczek).

Szczególną uwagę zwracają prace W. Stefaniuka: „Droga Łódzkiej i wojewódzkiej organizacji PPS do Zjednoczonej Partii”, T. Klimaszewskiego „Z zagadnień ekonomicznego wkładu wyzwolonej Łodzi w wojnę z Niemcami hitlerowskimi”, T. Dubickiego „Zabezpieczenie i uruchomienie przemysłu w Łodzi”, wspomniane już studium E. Ponczka o problemie demokratyzacji kultury w programie PPR w latach 1942—1945, rozprawka K. Baranowskiego o początkach łódzkiego marksistowskiego środowiska politologicznego oraz obszerny tekst J. Łużyńskiej — Drobowej o wpływie leninowskiej koncepcji sztuki na politykę kulturalną PZPR. Wymieniając tylko, te prace nie chcę przez to powiedzieć, by inne, o których nie wspominałem, nie zasługiwały na uwagę; korzystać tu z przywileju recenzenta, wybierającego z całości to, co go szczególnie interesuje. Nie chodzi mi również tylko o materiałowo-informacyjną wartość wspomnianych prac. Bardziej istotne wydaje mi się ogólniejsze zagadnienie, a mianowicie sposób rozpatrywania złożonej problematyki, którą autorzy podjęli.

Jeszcze przed kilkoma laty często można było spotkać się z przedstawianiem kształtowania się i pierwszych lat władzy ludowej w Polsce jako serii bezkonfliktowych zdarzeń, następujących jedno po drugim. W moim przekonaniu tego rodzaju ujęcia czyniły więcej szkody, niż przynosiły korzyści; rozmiłowały się z prawdą, zapożnaczały najistotniejszy fakt, że Polska Ludowa zrodziła się w bezkompromisowej, klasowej walce, zainicjowała historię, rolę sił polskiej rewolucyjnej lewicy. Istniejący był motorem przemian. Z tego rodzaju schematyzmem podział walki W. Stefaniuk, który w swej pracy uściśla politykę skomplikowanych procesów politycznych, ścieranie się sił nowego i starego w ruchu robotniczym na drodze do zjednoczenia. Uczył to w odczuciu o szeroka postawa „walki” i pokusił się o spójnienie wesołostrojone, nieschematyczne, a to jest już bardzo wiele.

W zestawieniu z pracą tego autora studium K. Baranowskiego wydaje się, że ten etap walki w dialektycznym mechanizmie sporów, niejednokrotnie istotnych kontrowersji, jakie wstawały w łódzkim środowisku humanistycznym w pierwszych latach po wojnie. Dobrze to, że autor zebrał sporo ważnych informacji, ale przecież ci, którzy pamiętają tamte lata, wiedzą — być może niebyle jak — że istniały różnice między marksizmem, proponowanym przez „Kuznice” a postulatami głoszonymi z kart „Młot Wszechświatowy” wreszcie propozycja „Kuznice” nie była jedną o konsekwentnym programie, że ówczesna humanistyczna Łódź nie była wreszcie jedynym ośrodkiem podniecającym walkę o nowy kształt nauk społecznych w naszym kraju. A „Odrodzenie”, jego spory z „Kuznicą”? Tych spraw nie można pomijać.

ANDRZEJ RADZIK

ANDRZEJ F. GRABSKI

HIPOTEZY

ERICH
von DÄNIKEN

DALSZE ŚLADY KOSMITÓW

W poprzednich dwu odcinkach opisywaliśmy odkrycie rozległych systemów podziemnych korytarzy w Ameryce Południowej, donosiliśmy o znalezieniu w nich wielu intrygujących i zagadkowych skarbów oraz przedstawiliśmy hipotezę Dänikena, przy pomocy której stara się on wszystkie te zagadki wyjaśnić. Twierdzi on mianowicie, że w dalekiej przeszłości toczyła się w głębinach kosmosu wojna między dwoma ugrupowaniami kosmitów. Zwycięzeń w walce radowali się uciekając i wyładowali na naszej planecie. Dla zmylenia pościgu zainstalowali skomplikowaną aparaturę na piątej planecie naszego systemu, a sami ukryli się pod ziemią na trzeciej planecie, w tunelach wykopanych przy pomocy skomplikowanych urządzeń. Scigający, nie bawiąc się w wyszukiwanie zbiegów, zniszczyli piątą planetę i odjechali. Tym tłumaczy Däniken istnienie nienaturalnie długiej przerwy między obecną piątą planetą naszego systemu a Marsem oraz istnienie tak zwanego pasa planetoid — dużego zbioru mniejszych i większych ciał materii.

Obecnie przytoczymy najpierw kilka nowych faktów interpretowanych przez Dänikena jako dowody na to, że w zamierzłej przeszłości Ziemia rzeczywiście gościła przybyszów z kosmosu. Kiedy pokonani w walce kosmici szukali planety, na której mogliby się osiedlić, Ziemia nie była idealnym do zamieszkania miejscem; idealne warunki panowały wtedy na piątej planecie — tej, która została potem zniszczona. Wybór Ziemi był jednak dokładnie przemyślany, gdyż w ten sposób zmniejszało się ryzyko zdemaskowania. Przez długi jeszcze czas kosmici musieli używać specjalnych skafandrów i masek podczas pobytu w naturalnej atmosferze ziemskiej. Stąd też, zdaniem Dänikena, biorą swój początek wszel-

kie rysunki, malowidła i opisy, które wyobrażają helmy, maski, ubiory podobne do skafandrów, itp.

W związku z tym bardzo interesujący wydaje się opis „stroju rytualnego” używanego przez Indian Kayapo, przedstawiony w książce Joao Ameriko Pereta, Däniken publikuje zdjęcia z książki Pereta, które zostały wykonane w roku 1952, a więc na wiele lat przed pierwszym lotem orbitalnym Jurija Gagarina. Dopiero od czasu tego lotu (statek Wostok I — 12 kwietnia 1961 roku) astronauta ubrani w skafandry są tak pospolici, jak widok manekinów w oknach wystawowych sklepów.

„Strój rytualny” Indian Kayapo, przedstawiony na zdjęciach, przywołał na myśl swym wyglądem skafander kosmonauty. Zrobiony jest ze słomy wzmocnionej białymi pasami płótna. Znajdujący się w środku człowiek ma na głowie dużą kulę z małymi otworami na oczy i nos i sterzącymi na boki, niby anteny, żdźbłami słomy. Reszta ubioru składa się z dwu części: „marynarki” i „spodni”. Nogi okrywają buty a tylko ręce wystające z rękawów są odkryte.

Ten „rytualny” ubiór Indian Kayapo nie wymaga komentarza. Trzeba tylko dodać, że tradycja noszenia go przy uroczystych okazjach sięga niepamiętnych czasów. Bez komentarza też przytoczymy legendę Indian Kayapo na ten sam temat. Opowiedział ją Peretowi Indianin Kuben Kran Kein, którego nazywają Gway Baba — Mądry.

„Nasz lud żył na rozległej sawannie, daleko od miejsca, z którego wiadać było góry Pukato Ti, których szczyty spowite były chmurą niepewności, a niepewność ta nie została rozjaśniona do dziś.

Pewnego dnia Bep Kororoti, który przybył z gór Pukato Ti, zjawiał się we wsi po raz pierwszy. Ubrany był w „bo” (tzn. opisany wcześniej kostium ze słomy), które zakrywało go szczerze od stóp do głów. Niósł w ręku „kop” — grzmiącą broń. Wszyscy ludzie w wiosce uciekli w przestrachu do buszu. Mężczyźni starali się chronić kobiety i dzieci; kilku z nich rozpoczęło walkę z intruzem. Jednakże ich broń była nieprzydatna w walce, gdyż rozspalała się w proch w momencie kontaktu z ubiorem Kororoti. Aby pokazać swą siłę Bep podniósł „kop”, wycelował nim w drzewo, a potem w głaz, po czym obie te rzeczy unicestwił.

Wszyscy ludzie w wiosce nabrali przekonania, że w ten sposób Bep chciał im pokazać, że nie przybył po to, aby toczyć z nimi wojnę.

Przez długi czas panowało zamieszanie. Najodważniejsi wojownicy starali się zorganizować opór, lecz w końcu musieli zrezygnować i zaakceptować obecność Kororoti, gdyż nie czynił im krzywdy. Jego uroda promieniająca białością jego skóry oraz przyjazne nastawienie stopniowo zmieniły stosunek Indian. Poculi się przy nim bezpiecznie i zawarli z nim przyjaźń.

Bep Kororoti znajdował przyjemność w używaniu naszych narzędzi wojennych i w uczeniu się naszych sposobów polowania. Uczył się tak szybko, że wkrótce władał bronią le-

piej niż najlepsi nasi wojownicy; był też bardziej odważny niż najodważniejsi ludzie w naszej wiosce. Dlatego też Bep Kororoti został przyjęty przez nasze plemię do grona wojowników, a niedługo potem ożenił się z młodą dziewczyną, która urodziła mu kilku synów oraz córkę. Nio Pouti.

Bep Kororoti był mądrzejszy niż inni więc zaczął nauczać wielu nie znanych rzeczy. Namówił mężczyzn do zbudowania Ng Obi — domu mężczyzny, który można teraz znaleźć w każdej wiosce. W domu tym wojownicy opowiadali o swych przygodach i w ten sposób młodzi uczyli się jak myśleć i zachowywać się w chwilach grożącego niebezpieczeństwa. W gruncie rzeczy dom był szkołą a Bep Kororoti był nauczycielem.

W Ng Obi rozwinęło się rzemiosło i inne rzeczy, których powstanie zawdzięczamy wielkiemu wojownikowi z kosmosu. To właśnie on założył „dużą izbę”, w której dyskutowaliśmy o potrzebach naszego plemienia, co było przyczyną stworzenia przez nas lepszej organizacji ułatwiającej wszystkim życie i pracę.

Często młodzi ludzie operali się i nie chcieli uczęszczać do Ng Obi. Wtedy Bep Kororoti wkładał swoje „bo” i szedł na poszukiwania krnąbrnych młodzieńców, którzy musieli potem potulnie wracać do Ng Obi.

Jego zachowanie zmieniło się po kilku latach: nie wychodził już z innymi na polowania, lecz pozostawał w swojej chacie. Kiedy jednak decydował się na wyjście z domu, zawsze szedł w góry Pukato Ti, skąd przybył. Pewnego dnia posłuchał nakazu swej duszy, ponieważ dłużej nie mógł się już opierać i opuścił wioskę wraz z całą swoją rodziną. Tylko Nio Pouti pozostała, gdyż nie było jej w tym czasie w domu. Dni miały, a Bep Kororoti nie wracał. Aż kiedyś, ukazał się nagle na głównym wiejskim placu wnosząc straszliwy okrzyk wojenny. Wszyscy myśleli, że zwarłował i starali się uspokoić. Jednakże, któżkolwiek go dotknął, padł jak piorunem rażony. Bep Kororoti nie używał broni, tylko jego ciało trzęsło się w spazmatycznych drgawkach.

W walce, która się wywiązała, wojownicy padali jak muchy. Po pewnym jednak czasie mogli znowu wstać i ponownie brać udział w walce. Bep Kororoti wycelował się w kierunku gór. Kiedy był już blisko Pukato Ti zniszczył wszystko wokół przy pomocy swego „kop”. Gdy dotarł na szczyt góry, dała się słyszeć potężna eksplozja, która wstrząsnęła całą okolicą. Bep Kororoti uniósł się w powietrze, znikając wśród grzmotu w chmurach ognia i dymu. Wydarzenie to spowodowało zniszczenie krzewów i drzew rodzących owoce oraz wyginięcie wszelkiej zwierzyny, czego następstwem był głód.

Nio Pouti — córka Kororoti — oświadczyła swemu mężowi, że wie skąd można dostać pożywienie dla całego plemienia. Na jej żądanie mąż, przezwyciężywszy strach, udał się z Nio Pouti w góry Pukato Ti. Tam córka Kororoti wyszukała specjalne drzewo i usadowiłszy się wraz z synem w jego konarach rozkazała mę-

żowi przyciągnąć gałęzie w dół do ziemi. W chwili, gdy gałęzie dotknęły ziemi nastąpiła eksplozja i drzewo wraz z Nio Pouti i jej synem zniknęło wśród grzmotu w chmurach dymu i kurzu.

Mąż Nio Pouti czekał kilka dni, a kiedy już prawie umierał z głodu i strachu, usłyszał trzask i zobaczył, że drzewo znowu stoi tak jak stało. Wraz z drzewem wrócili Nio Pouti i Bep Kororoti przywołując ze sobą koższe żywności jakiej nikt nigdy nie jadł i nie widział.

Po pewnym czasie Bep Kororoti usiadł między konarami owego wspaniałego drzewa i rozkazał mężowi swej córki przyciągnąć gałęzie do ziemi. W chwili kontaktu znowu nastąpiła eksplozja i drzewo zniknęło w chmurach.

Nio Pouti wróciła z mężem do wioski, gdzie rozkazała wszystkim przeprowadzić się w okolice gór Pukato Ti. Tam, niedaleko od miejsca, gdzie stało latające drzewo, wszyscy otrzymali żywność do czasu aż wysiane przez nich nasiona przywiezionych owoców, warzyw i krzewów wydały owoce.

W ten sposób nauczyliśmy się rolnictwa..."

Inny fascynujący temat dyskutowany przez Dänikena to Wyspy Polinezyjskie. Mieszkańcy tych wysp położonych na przestrzeni 15 800 mil kwadratowych mają jednakowe podania i legendy, wspólne pochodzenie języka i, z nielicznymi wyjątkami, jednaki wygląd. Cześć także te same bóstwa.

Większość specjalistów zajmujących się sprawami Polinezyjskiej zgodni twierdzą, że kultura i język rozprzestrzeniały się w kierunku ze wschodu na zachód. Zgodnie z tą wersją wpływ ten brał swój początek od miejsca, gdzie znajdują się Wyspy Cook'a, Tahiti i Tuamotu. Däniken ustosunkowuje się do tego następująco:

„Nie ośmielam się umniejszać wagi wniosków naukowych, lecz pragnę zadać w związku z nimi kilka pytań.

W jaki sposób Polinezyjczycy żyjący na wschodzie pokonywali ogromne odległości pomiędzy wyspami w czasie swej ekspansji na zachód?

Istnieje teoria głosząca, że na małych czółnach wiosłowych do miejsc, gdzie płyną prądy oceaniczne, a potem dryfowali w pożądanym dla siebie kierunku.

Jaki to był jednak kierunek?

Dopiero pół wieku temu badania prądów morskich pozwoliły stosunkowo ściśle ustalić kierunki, w których płyną wielkie i silne prądy oceaniczne i miejsca, gdzie zbliżają się one do ładu. Mapa takich prądów zdecydowanie wykazuje, że Polinezyjczycy mieszkający na wschodzie musieli być w swoich małych czółnach płynąc do Nowej Zelandii, największej wyspy na południu Oceanu Spokojnego, pod prąd!

Ulubionym wyjaśnieniem oferowanym dla tej zagadki, wyjaśnieniem przyjętym przez wielu naukowców, jest twierdzenie, że żeglarze podróżujący ze wschodu do Nowej Zelandii płynęli w kierunku północnym lub południowym tak daleko, aby znaleźć się w miejscu skąd byłoby możliwe wpłynięcie w odpowiedni prąd oceaniczny zdążający do Nowej Zelandii.

Mogłoby to być właściwe wyjaśnienie, gdyby dawni Polinezyjczycy posiadali nowoczesne przyrządy nawigacyjne oraz dysponowali współczesnymi wiadomościami o morzu. A cóż mogli oni wiedzieć o określonym stopniu szerokości geograficznej — miejscu, w którym należało skręcić na wschód lub na zachód? Skąd również mogli cokolwiek wiedzieć o celu swej podróży? Czy wiedzieli, że istnieją inne wyspy i gdzie się one znajdują?

Ten, kto przyjmuje, że dawni Polinezyjczycy precyzyjnie wykorzystywali prądy oceaniczne biegnące w przeciwnym do ich wypraw kierunku musi przyznać, że posiadali oni doskonałą znajomość morza. Przy takim założeniu należy zadać pytanie skąd Polinezyjczycy mieli tę wiedzę.

Odległości (według danych linii lotniczych) między poszczególnymi miejscami na Oceanie Spokojnym pozwalają uzmysłowić sobie na jak ogromnych dystansach odbywał się ów eksport kultury ze wschodu na zachód.

Wyspa Wielkanocna — Tahiti	— 2 300 mil
Tahiti — Fidżi	— 2 070 "
Fidżi — Australia	— 1 865 "
Kalifornia — Hawaje	— 2 485 "
Hawaje — Wyspy Marshalla	— 2 360 "

Gdyby, pomimo wszystkiego, tratwa lub czółno wyładowały przypadkiem na brzegu nie znanej dotąd wyspy, dzielni żeglarze nigdy już nie nawigaliby żadnej łączności z wyspą, z której wyjechał; nie mogliby nawet przesłać wiadomości, że wyładowali. Gdyby zechcieli ponownie wypłynąć w morze, oddaliliby się jeszcze bardziej od rodzinnego portu. Nawet najślinniejsi mężczyźni nie mogliby powrócić do domu w czółnach. Jednakże, zgodnie z danymi nauki, dokonali oni jeszcze jednego niezwykłego czynu. Oto wyprawy odkrywcze podejmowali mężczyźni; nie podróżowali z nimi żadne kobiety. Pomimo tego, ci dzielni żeglarze pływający pod prąd nie tylko przynosili ze sobą zdobycze kultury, lecz także płodzili dzieci, które potem zaludniały wyspy. Jak im się to udawało?

Twierdzi się, że Polinezyjczycy żeglowali według gwiazd. Jeśli Krzyż Południa jest na horyzoncie o północy, musimy sterować w lewo, aby dostać się do Bora-Bora". Skąd żeglarze ci wiedzieli gdzie leży Bora-Bora? Czy ktoś przed nimi odwiedzał wyspy i przesłał im w jakiś sposób odpowiednie informacje?

Obecnie żeglarz wie, że cel jego podróży istnieje (w odróżnieniu od prehistorycznego odkrywcę), wie gdzie on leży i jak można do niego dotrzeć. Dawni Polinezyjczycy takiej wiedzy posiadać nie mogli.

Nie mogli... chyba, że posiadli sztukę latania!

Interesujące będzie w związku z tym zapoznanie się z pewną legendą Maorysów — ludu zamieszkującego Nową Zelandię. Opowiada ona, że dawno temu żył pewien król, który nazywał się Kupe. Podjął on swego rodzaju naukową wyprawę w towarzystwie swych córek i dwu ptaków. Kupe odkrył wschodnie wybrzeże No-

BOHDAN FELT LATAJĄCE TALERZE: FIKCJA CZY rzeczywistość?

(część druga)

W okresie ostatnich 30 lat kroniki fenomenów latających talerzy wzbogaciły się o dziesiątki tysięcy relacji na ten temat. Zdecydowana ich część przypada jednak na lata 50. Niezidentyfikowane obiekty latające były wówczas obserwowane nie tylko nad Stanami Zjednoczonymi, ale również nad Indiami, Brazylią, Anglią, Francją, Australią, Kanadą itd. Obserwacji dokonywano o różnych porach dnia i nocy.

Jeden z najelegantszych pod tym względem przypadków miał miejsce 15 marca 1951 roku w New Delhi. Tegoroczny, o godz. 10.20 oczom tysięcy mieszkańców ukazał się niecodzienny widok. Ponad miastem krążył dziwny obiekt w kształcie cygara. Według relacji niektórych osób długość jego wynosiła 30 m, zaś z tylniej części kadłuba wydobywały się płomienie. Część bezpośrednich obserwatorów sugerowała, iż obiekt wykonany był z metalu, bowiem w czasie lotu nad miastem w jego kadłubie odbiły się promienie słońca. Ów dziwny statek krążył bezgłośnie przez około 20 minut na wysokości 1500 metrów, z prędkością 3.000 km/godz. W chwili, gdy na niebie pojawiły się trzy samoloty wojskowe, wystane w celu bliźszego zbadania zagadkowego zjawiska, obiekt wznosił się w górę i zniknął w chmurach.

Jeszcze tej samej nocy został on ponownie zauważony, tym razem nad Alahabad, w odległości 600 km od Delhi, a dwa tygodnie później, podobny obiekt zaobserwowano nad lotniskiem Wellington w Delhi. Na podstawie relacji personelu nazemnego lotniska leciał na tej samej wysokości co poprzednio — 1500 metrów, lecz ze znacznie mniejszą prędkością około 700 km/godz. W pewnym momencie zauważono, jak nagle zmienił kąt nachylenia i gwałtownie zwiększył swoją szybkość zniknął z pola widzenia obserwatorów, pozostawiając za sobą tylko białą smugę, która utrzymywała się w powietrzu przez półtorej godziny. Nie była to bynajmniej ostatnia wizyta tajemniczego obiektu nad lotniskiem w Delhi. Pojawił się on jeszcze dwukrotnie, w listopadzie i grudniu 1951 roku.

I znow, tak jak w przypadku obserwacji dokonanych w Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim, zastanawiano się, czy oglądane obiekty istniały rzeczywiście, czy też były tylko złudzeniem.

Jedno z takich dziwnych zjawisk zostało zauważone w maju 1952 roku w Brazylii przez dwóch dziennikarzy: Eda Keffela i Martina. Przebywali oni w tym czasie w miejscowości Ilha dos Amores, gdzie z polecenia redakcji kompletowali materiał zdjęciowy dla swego tygodnika. 7 maja około godziny 16, wykonywali właśnie kolejną serię zdjęć, gdy w pewnej chwili Martin zwrócił uwagę swego kolegi na dziwny samolot nadlatujący od strony oceanu. Początkowo wydawało im się, że ów samolot nie leci w ich kierunku, niebawem jednak stwierdzili, że bardzo szybko i bezgłośnie zbliża się ku nim. Po chwili ze zdziwieniem zauważyli, że to nie jest samolot, lecz zagadkowy obiekt w kształcie talerza koloru szaroniebieskiego. Jego kadłub był według nich wykonany z metalu. Ed Keffel szybko zrobił kilka zdjęć tajemniczego obiektu, który tymczasem poleciał w kierunku lasów Tijucas, po czym nagle zawrócił i zaczął się zniżać. Obaj dziennikarze stwierdzili później, że opadał ruchem wahadlowym, tak jak liście z drzew, jednakże w pewnym momencie nagle zwiększył szybkość, gwałtownie wznosił się w górę i zawrócił w kierunku oceanu.

Opinie o dziwnym zjawisku były bardzo rozbieżne. I tak, według niektórych, obiekt ów był z całą pewnością latającym talerzem, według innych zaś ea-

le sprawozdanie było po prostu kaczka dziennikarska, a zdjęcia — fałszywe. Fotografie Keffela pokazano m.in. prezesowi BOAC (Brytyjskich Linii Lotniczych), który stwierdził, iż są one zdjęciami osłony kół samolotu „Douglas”. Osłony takie wykonywane są z aluminium koloru szaroniebieskiego. Dziennikarze utrzymywali jednak, że obiekt utrwalony na ich fotografiach zdecydowanie różnił się od części samolotu „Douglas”, obojętne z tego względu, że był dwukrotnie większy od całego samolotu, zaś jego ruchy wykazywały ewentualność złudzenia optycznego.

Interesującym faktem sprawozdania obu Brazylijczyków było również to, że opis wahadłowego opadania zagadkowego obiektu oraz nagłych zmian jego kierunku przy wznoszeniu się w górę z olbrzymią szybkością, prawie całkowicie pokrywał się z relacjami przekazanymi przez innych obserwatorów, przy czym — co zostało stwierdzone — nie dysponowali poprzednimi sprawozdaniami na temat latających talerzy.

We wrześniu 1952 roku dowództwo bazy lotniczej w Topoliffe, hrabstwo York, otrzymało meldunek od grupy pilotów RAF, iż w czasie swych lotów widują co pewien czas dziwne obiekty latające kształtem przypominające talerze. Jeden z lotników, kapł. John W. Kilburn, twierdził, iż widział przez niego obiekt miał postać krążka, który leciał śladami jego samolotów. Kilburn był doświadczonym pilotem, nigdy jednak — jak mówił — nie zdarzyło mu się zetknąć z podobnym zjawiskiem. Jego maszyna znajdowała się wówczas na wysokości 1300 metrów i rozpoczęła manewry przybliżające do lądowania. Widoczność była tego dnia bardzo dobra, świeciło słońce, a niebo było prawie bezchmurne. Samolot Kilburna leciał właśnie w kierunku zachodnim, gdy nagle oczom pilota uka-

zał się polyskujący w słońcu srebrzysty obiekt w kształcie talerza. Mógł się znajdować na wysokości 3000 metrów, w odległości około 7 km od samolotu. Kilburnowi wydawało się, że obiekt ów leci w tym samym kierunku, ale wolniej od jego maszyny. Pilot natychmiast nawiał łączność ze swoimi kolegami z eskadry. Jeden z lotników obserwując wskazany przez Kilburna obiekt wyraził opinie, iż może to być spadochron, lecz po chwili wszyscy doszli do wniosku, iż to wykluczone. Tymczasem tajemniczy obiekt obniżył swój pułap, opadając ruchem wahadlowym. W momencie, gdy samolot Kilburna miał podejść do lądowania, ów dziwny krążek początkowo podążył za nim, po czym przez chwilę robił wrażenie, jakby zawisł w powietrzu i zaczął się obracać wokół swej osi. Następnie poleciał z ogromną szybkością w kierunku zachodnim, nagle jednak skręcił na południowy wschód i zniknął z pola widzenia pilotów. Obserwujący to zagadkowe zjawisko lotnicy stwierdzili później, że obiekt był wielkości samolotu typu „Vampire” i na pewno nie był mirażem bądź wytworem ich fantazji.

W obu tych wypadkach zaskakująca jest zbieżność obserwacji, dokonanych przeciwie w zupełnie innych częściach świata. Obiekt, jego kształt i sposób poruszania się były prawie analogiczne. Przypadek?

Jeden z badaczy fenomenu latających talerzy, L.G. Cramp, opisuje w swej książce: „Space, Gravity and Flying Saucers” taki oto fakt. Otóż pewnego wieczoru, w październiku 1953 roku, będąc na spacerze usłyszał charakterystyczny hałas przelatującego nad nim samolotu. Gdy uniósł głowę do góry, ujrzał na niebie kolorowe światła, które początkowo wiał za światła nawigacyjne samolotu. Jednak po chwili doszł do wniosku, że światła te były dosiężli dziwny obiekt wielkości talerza, który świecił pomarań-

HIPOTEZY

wej Zelandii, wysiadł na brzeg i wysłał oba ptaki na zwiady. Zadaniem jednego z nich było mierzenie prądów morskich oraz bystrości strumieni wody w rzekach, drugi zaś miał stwierdzić, które rośliny na wyspie są jadalne. Pierwszy ptak zlał sobie skrzydło podczas pomiarów wodospadu i, okaleczony, nie był zdolny do dalszych lotów. Drugi ptak odkrył tak smakowite owoce pewnego drzewa, że zdecydował się spędzić resztę swego życia w lesie, gdzie te drzewa rosły. Król Kupe nigdy go już nie zobaczył. W wyniku tych niepowodzeń król Kupe i jego córki nie mogli wrócić do domu!

Dlaczego? Król w dalszym ciągu miał do dyspozycji czółno, którym przejechał. Obie córki, najprawdopodobniej dobrze zbudowane i silne dziewczęta, też były z nim. Pomimo tego nie można było wrócić do domu. Czy może król używał swych mądrych ptaków dla celów nawigacji?

Jestem prawie w stu procentach przekonany, że dawni Polinezyjczycy znali sztukę latania.

Przedmioty skatalogowane jako maski (na przykład w Bishop Museum w Honolulu) każdy bez trudu rozpoznaje jako liche kopie jednoosobowych maszyn latających, jeśli nie będzie się upierał, wbrew oczywistym dowodom, że są to „maski religijne” czy „stroje rytualne”. Maski te wciągano na siebie z góry, przez głowę; ruchome, płaskie kawałki drewna nie były niczym innym jak skrzydłami. Na jednym ich końcu widać wyraźnie otwór na ramiona. Nawet podpory na ręce i nogi — cały „górset”, w który prehistoryczny lotnik musiał się wciskać pozostał przez tysiąclecia w pamięci artystów polinezyjskich. Oczywiście, oni sami już nie wiedzą dlaczego wyposażają swoich bogów i królów w tak skomplikowany aparat. Od wielu tysięcy lat nikt nie był w stanie latać przy pomocy tego ekwipunku; latać umieli tylko niektórzy specjaliści bardzo dawno, dawno temu.

Polinezyjczycy nie odkryli sztuki latania sami. Nauczycieli ich latać ci, którzy w dawnych wiekach na jakiś czas przybyli na naszą planetę. Ponieważ reprezentowali bardzo rozwiniętą cywilizację, to wydaje się, że taka rzecz jak maszyna do latania była dla nich drobnostką, wynalazkiem zrobionym w czasie wolnym, przeznaczonym na jakieś hobby.

Kończąc przedstawianie fragmentów książki „Złoto bogów” pragniemy jeszcze przytoczyć wyjątki z rozmowy, jaką odbył Däniken w marcu 1972 roku z człowiekiem o nazwisku Joseph F. Blumrich. Blumrich, inżynier urodzony w Austrii, był w owym czasie od 14 lat zatrudniony w NASA. Kierował tam wydziałem, w którym odbywa się planowanie i opracowywanie szczegółów przyszłych stacji kosmicznych. Na przykład, Blumrich brał udział w konstruowaniu ostatniego członu rakiety Saturn V, a obecnie zajmuje się opracowywaniem planów przyszłych stacji orbitalnych. W lipcu

czowym blaskiem. Cramp obserwował go przez jakiś czas, lecz po kilku minutach ów obiekt zwiększył szybkość i zniknął. Autor tej relacji twierdził, że siła światła, jakie było z tajemniczego obiektu, była tak duża, iż wyluczało to ewentualność, że może ono pochodzić z samolotu lecącego na niewielkiej wysokości, musiałby bowiem — jak pisze — dostrzec również jego sylwetkę. Jego zdaniem nie był to również meteor, ani żadne znane zjawisko atmosferyczne. A zatem co to było?

Niezwykłe, błyszące obiekty, unoszące się w powietrzu były obserwowane nie tylko na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Widywano je również w postaci ognistych kul, krzyży, smoków i potworów wiele setek i tysięcy lat temu. Kroniki chińskie sprzeczki kilku tysięcy lat donosiły o pojawianiu się na niebie tajemniczych „złoczystych ognistych smoków”. O podobnych zjawiskach dowiadujemy się także z Biblii oraz z „Historii Naturalnej” Pliniusza, napisanej w 75 roku, jak też z wielu ksiąg okresu średniowiecza i czasów nowożytnych. Znaczna część zamieszczonych tam opisów dotyczących zjawisk „nadprzyrodzonych” to nic innego jak relacje o meteorach, tęczach, refleksach słonecznych, kometach, które ówczesnie interpretowano najczęściej jako widome symptomy zbliżających się niebezpieczeństw i nieszczęść.

Mniej więcej w połowie ub. wieku informacje o różnych niezwykłych zjawiskach występujących na niebie zaczęły się mnożyć. Nad wieloma miejscowościami Anglii pojawiały się tajemnicze obiekty, które świeciły jasnymi, różnokolorowymi światłami. Niekiedy unosiły się w powietrzu bez ruchu, najczęściej jednak poruszały się z ogromnymi szybkościami. Najbardziej zaskakujące informacje z końca ub. stulecia o pojawieniu się nad Chicago oraz innymi amerykańskimi miastami olbrzymich obiektów latają-

1972 roku Blumrich odznaczony został medalem NASA za wybitne zasługi w pracy nad realizacją programu Apollo — wyróżnieniem, jakie otrzymało tylko niewielu ludzi pracujących dla NASA.

— Studiował pan szczegółowo „wizje” proroka Ezekiela. Jak to się stało, że człowiek zajmujący takie jak pan stanowisko zajął się tym problemem?

— Po prostu był to wyraz protestu. Czytałem pańską książkę „Chariots of the „Gods?” („Wspomnienia z przeszłości”) z poczuciem wyższości, jak ktoś, kto z góry wie, że wszystko to jest nic nie wartę. Stwierdziłem, że mogę włączyć się do dyskusji w miejscu, gdzie podaje pan szczegóły techniczne dotyczące wizji proroka, ponieważ większość życia spędziłem na konstruowaniu samolotów i rakiet. Wyciągnąłem więc Biblię, aby przeczytać cały tekst księgi Ezekiela w przekonaniu, że zniszczę pana w kilka minut. Po uważnym przeczytaniu tekstu moje przekonanie raptownie się zachwiało. Skłoniło mnie to do podjęcia szczegółowych badań, które potwierdziły błędność pierwszego mojego nastawienia.

— Czy po tych badaniach uważa pan, że spotkanie proroka z nieznanymi istotami inteligentnymi było możliwe? Jeśli tak, to na jakich wskazówkach się pan opiera?

— Bez wątpliwa spotkanie takie się odbyło. Nie zgadzam się jednak z używaniem słowa „wskazówki”. Ogólny wykład statku kosmicznego może być wydedukowany z opisu proroka. Wtedy inżynier może, bez posługiwania się tekstem, zrekonstruować maszynę latającą o takich samych właściwościach. Jeśli następnie udowodni, że uzyskane przez niego rezultaty są nie tylko możliwe technicznie, lecz także stwierdzi, że szczegóły i procesy opisane przez Ezekiela zgadzają się dokładnie z jego wnioskami, to nie może tego określić jedynie jako wskazówki.

Wiem, że napisał pan książkę na ten temat. Czy możliwe było uzyskać dane dotyczące rozmiarów statku oraz jego szczegółów technicznych?

— Okazuje się, że można to było zrobić stosunkowo dokładnie. Z powodu niejasności opisu, strona matematyczna badań musiała być przeprowadzona parametrycznie, to znaczy przez kolejne wypróbowywanie szeregu „zmiennych”. Stwierdziłem, że statek kosmiczny Ezekiela miał zupełnie wiarygodne rozmiary i musiał być produktem cywilizacji wyprzedzającej nas o kilka dziesięcioleci.

— Czy zdaje sobie pan sprawę z szoku, jaki pańska książka wywołała wśród badaczy Starego Testamentu?

— Szok jest nieunikniony. Jednakże mam nadzieję, że czas jego trwania zostanie ograniczony do minimum ponieważ książka moja zawiera wszystkie dane techniczne, których używałem do obliczeń i rekonstrukcji. Wszystko jest w niej napisane czarno na białym. Każdy, kto ma wątpliwości może wszystko sprawdzić sam.

Oprac.
B. KRAKOWIAN

ych w kształcie błyszczyących cygar. Wszelkie wieści o nich budziły wszędzie zrozumiałą sensację. Były to przedzie czasu, kiedy samolot był pojęciem nieznanym, a Edison zaledwie kilka lat wcześniej wynalazł pierwszą żarówkę elektryczną. A oto kilka takich doniesień, zacierpniętych z książki „The books of Charles Fort” (Janusz Thor: „Latające talerze”, Warszawa 1961).

1896. Czerwiec. Zaobserwowano czarną torpedę, która przeleciała obok Księżyca.

Lipiec. Z obserwatorium Smith donoszą o okrągłym dysku, który w ciągu 4 sekund minął Księżyca.

Grudzień. Dr Karol Davidson zauważył błyszczyący dysk nad Worcester, który do tego stopnia oświetlił okolicę, że można było podnieść z ziemi szpilki.

1897. Luty. Nad Madrytem słychać było eksplozję, na skutek której w domach powylatywały okna i poniekąd ściany. Na ulicach miasta wybuchła panika, a na niebie pojawiła się świetlista chmura.

Kwiecień. Wielka ilość zjawisk telerzowych zaobserwowano w Ameryce. „Statek powietrzny” nad miastem Kansas. Ten sam statek zaobserwowano w Chicago i w Benton, Texas. Statek zaporozony był w dwa olbrzymie reflektory, skierowane ku ziemi.

1899. Marzec. Błyszczyący dysk widziano nad El Paso, Texas. Październik. Luzarthes, Francja. Na horyzoncie zauważono ognisty dysk wielkości Księżyca.

Wszystkie te i podobne informacje złożyły się zatem na istniejący do dziś mit latających talerzy i ich pozaziemskiego pochodzenia.

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (XIII)

ANDRZEJ BLAJER

POMARAŃCZOWA KOPERTA



Niespełna w kilka dni po wyjeździe Schellenberga ze Szwajcarii, 18 marca 1943 roku, szef wywiadu szwajcarskiego, pułkownik Roger Masson, otrzymał alarmujący meldunek. Z treści wynikało, iż w monachium funkcjonuje już od pewnego czasu sztab przygotowujący operację przeciwko Szwajcarii, kierowany przez generała Dietla. Otoż owe „Kommando Schweiz” posiadało ostatnio w stan pełnej gotowości bojowej silne jednostki spadochroniarzy i strzelców alpejskich.

Na twarzy pułkownika Massona pojawiło się jednocześnie zdziwienie i zaskoczenie. Czyżby zapewnienie Schellenberga było tylko pustymi słowami? A może alarm jest fałszywy? Tym razem informacje nie pochodziły od „Lucie”, Alarm podniosła tzw. „Linia Viking”, którą tworzyła grupa agentów wywiadu szwajcarskiego zakonserwowanych w kwaterach głównych iürnera i centrach dowodzenia Rzeszy. Złożycielem grupy oraz jej szefem był Max Waibel, major armii szwajcarskiej, kierujący placówką wywiadowczą „NS 1” w Lucernie, a zarazem podwładny Massona. Pułkownik nie miał więc podstaw, aby nie ufać doniesieniom powstającego człowieka. Nie zastanawiając się długo postanowił ostatecznie nawiązać kontakty z Schellenbergiem za pośrednictwem kapitana Mayera-Schwertbacha. Po telefonicznym uzgodnieniu terminu spotkania Meyer udał się do Berlina na rozmowy z Schellenbergiem i Eggenem. Szef kontrwywiadu SS przyznał, iż nad Szwajcarią faktycznie zawisła groźba inwazji, ale on osobiście uczyni wszystko, aby do niej nie dopuścić.

Jednak gdy tylko Meyer opuścił gabinet Schellenberga, ten ostatni nie ukrywał swego zadowolenia. No cóż, miał powody, kolejny błąd popełniony przez Massona uświadomił SS-Brigadeführerowi, iż miał rację decydując się na taki plan gry. Podstęp się udał. Teraz Masson będzie się musiał odwdzięczyć, stawka bowiem była wysoka — niezawisłość Szwajcarii. I oto 27 marca szef wywiadu szwajcarskiego trzymał w ręku kolejny meldunek uzyskany za pośrednictwem „Linii Viking”. Natychmiast zatelefonował do sztabu generała Guisana: „Niebezpieczeństwo niemieckiej inwazji na Szwajcarię zagrożone”. Nie mógł wówczas wiedzieć, iż „Operacja Szwajcarii” była zwykłym bluffem.

Wiosną 1943 roku z rozkazu Schellenberga jego agentura w Szwajcarii przystąpiła do działań skierowanych przeciwko radzieckiej grupie wywiadowczej „Dory”. Agentów przygotowywała szkoła wywiadu SD w Stuttgarcie, zakamuflowana pod nazwą „Allgemeinlicher Arbeitskreis” (Niemiecki Krąg Pracy). Instytucja funkcjonowała w ścisłym kontakcie z kwaterą główną wywiadu SD na Wilhelmstrasse 102 w Berlinie. Jej działalnością kierował w tym czasie SS-Strümbannführer Hügel, dysponujący kartoteką z nazwiskami 20-tygodniowych agentów szwajcarskich, współpracowników wywiadu niemieckiego. Corocznie mury szkoły opuszczało około 600 ludzi, których kierowano następnie do Szwajcarii celem zwerbowania wśród jej obywateli, głównie wśród Niemców, agentów wywiadu. Prócz tego w Bernie istniało „Büro F” — tajna rezydentura Abwehry w tym kraju. Jego dywersyjne działania chronił status dyplomatyczny, bowiem szefem „Büro F” był niemiecki konsul generalny w Szwajcarii, Hans Meisner, posiadający bezpośrednią łączność radiową z Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Widać zatem, iż ludzie Schellenberga mogli prowadzić poszukiwania na terenie tego neutralnego kraju niemal jak w Niemczech, a ich aktywność wiosną i latem 1943 roku była wciąż coraz większa.

W końcu kwietnia 1943 roku szwajcarskie gazety przyniosły informacje, że na francuskim brzegu Jeziora Genewskiego pracują niemieckie stacje

pelengacyjne, które poszukują nielegalnych radiostacji francuskiego ruchu oporu. Niebawem okazało się, że to nie one były celem radiopelengacyjnej służby Abwehry. W czerwcu 1941 roku, niemieckie centrum pelengacyjne w Cranu ustaliło obecność w okolicach Genewy i Lozany radiostacji utrzymujących łączność z Moskwą. Teraz wróg penetrując terytorium szwajcarskie z trzech stron — francuskiej, włoskiej i niemieckiej podzielił całkiem blisko. Celem tej operacji była lokalizacja radiostacji z dokładnością do dzielnicy i domu. Nie było to nawet trudne, tym bardziej iż nowe miejsce nadawania „Maud” i „Edwarda” (po rewidzi w domu Hammelów Centrala zaczęła zmieniać lokal) znajdowało się poza Genewą w niewielkiej odległości od granicy francusko-szwajcarskiej. Niemcom chodziło przede wszystkim o wykrycie źródła informacji „Dory”, zwłaszcza tych, które znajdowały się w Berlinie.

Zadanie to w głównej mierze spoczywało na wspomnianym już „Büro F”. Poszukiwaniem „Czerwonej Trójki” zajmował się tam m.in. kapitan Hans von Pescatore wraz z grupą specjalistów w dziedzinie szyfrów, łączności, daktylografii itd. Co wiedzieli już wówczas, tj. wiosną 1943 roku? Sporo. Znał adres i prawdziwe nazwisko „Sissy” jak również szereg pseudonimów, które znalazł w rozszyfrowanych depechach. W „Büro F” znajdował się także ów radiogram Dyrektora z 23 kwietnia 1942 r., w którym prosił on „Sissy” o podanie nieco dokładniejszych informacji na temat współpracowników „Lucie”. Można sobie zatem wyobrazić z jaką niecierpliwością kontrowywiad niemiecki oczekiwał odpowiedzi „Sissy”. Na szczęście Rössler okazał się doświadczonym wywiadowcą i odmówił podania szczegółów. Jak się okazało po wojnie, Niemcy, uzyskawszy od „Kenta” (aresztowanego we Francji po porażce „Czerwonej Orkiestry”) szyfr „Dory”, przeczytali również większość depech wysłanych do Centrali w okresie 1941—1942, które dostarczyły im szeregu informacji o poszczególnych członkach grupy.

Z chwilą pojawienia się niemieckich stacji pelengacyjnych w pobliżu Genewy, siatka „Dory” została zmuszona do zwiększenia czujności i przedsięwzięcia środków, które zapewniłyby większe bezpieczeństwo. W tym kierunku szły także zalecenia Centrali, nakazujące zmianę zakresu fal i czasu nadawania radiogramów. Na niewiele się to jednak zdało. Niemcy bowiem znaleźli już szyfr „Dory” i zarówno meldunki dla Centrali, jak i jej wszystkie polecenia odbierane przez radiostacje „Maud”, „Edwarda” i „Róż” były rozszyfrowywane przez kontrwywiad wroga. Sytuacja przedstawiała się groźna, tym bardziej iż nikt nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów niebezpieczeństwa.

Jakby jeszcze mało było kłopotów, z początkiem lata 1943 siatka wywiadowa poniosła nieoczekiwaną, poważną stratę. Niemiecki kontrwywiad zamaskował współpracowniczkę grupy „Dory” o pseudonimie „Bill”. Kryła się pod nim sekretarka niemieckiej wojskowej komisji handlowej w Szwajcarii, na czele której stał generał Müller. „Bill” należała do sekcji „Sissy” i dostarczała wielu bardzo cennych informacji. Na spotkaniu z Sandorem Rado „Sissy” bardzo zdenerwowana powiedziała, że dziewczynę zwolniono ze stanowiska, wskutek podejrzenia, iż przekazuje tajne informacje przeciwnikowi. Niczego jej właściwie nie udowodniono, dlatego cała sprawa zakończyła się tylko wydaleniem z komisji. Rado nie domyślał się wówczas, iż kontrwywiad hitlerowski ustalił przynależność „Bill” do jego siatki wywiadowczej na podstawie analizy przechwyconych radiogramów. Wymienione w nich było bowiem miejsce pracy agentki. Na szczęście „Bill” nie znała ani nazwiska, ani miejsca zamieszkania „Sissy”, której przekazywała wszystkie informacje. W tych warunkach konieczne było podjęcie niezbędnych środków ostrożności, a zwłaszcza dokonanie zmiany lokalów. Z tym nie było jednak łatwo. Rado doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż jest w Szwajcarii osobą znaną — tak jako uczeń, a także jako właściciel agencji kartograficznej „Geopress”. Dla hitlerowskich agentów nie przedstawiało najmniejszej trudności ustalenie jego adresu, nie mówiąc już o szwajcarskiej policji, gdyż w jej kartotekach znajdowały się szczegółowe dane o osobie Sandora Rado, które musiał okresowo uzupełniać, chcąc uzyskać pozwolenie na przedłużenie pobytu w Szwajcarii. W podobnej sytuacji znajdowali się również jego najbliżsi współpracownicy — „Sissy”, „Pak”, „Jim”, zwłaszcza ten ostatni jako cudzoziemiec i do tego nie posiadający obywatelstwa szwajcarskiego. I dlatego Rado uznał, że zmiana lokalów nie gwarantuje większego bezpieczeństwa.

Niemcy nie zadowalali się tylko prowadzeniem namiarów radiostacji grupy „Dory” czy też — bezpośredniego rozpoznania poprzez agentów — prowokatorów. Zaczeli również wykorzystywać w tym celu kanały dyplomatyczne. Tylko w 1943 roku niemieckie poselstwo w Bernie, aż pięćdziesiąt razy domagało się w oficjalnych notach aresztowania Sandora Rado. W dokumentach tych określano go jako radzieckiego agenta — zajmującego się zbieraniem tajnych informacji na szkodę III Rzeszy. Niemcy oczekiwali w odpowiedzi interwencji Rado zsyłając go do specjalnego obozu dla cudzoziemców, bądź wydala go za granicę kraju. Jednak na szczęście dla „Dory” organa federalne nie spełniły żądań strony niemieckiej. Jak się okazało po wojnie Szwajcarzy po prostu nie wierzyli, aby Rado, znany naukowiec, mógł być jednocześnie radzieckim agentem. Ale chyba nie tylko owo niedowierzanie leżało u podstaw decyzji nie wydawania Rado w ręce wroga.

Trudno jednak przypuszczać, aby szef wywiadu, pułkownik Masson — nie posiadał żadnych informacji o prawdziwym zajęciu Sandora Rado. Szwajcarzy widzieli szansę uratowania swej niepodległości w zwycięstwie państw koalicyjnych, toteż władze przynajmniej omyłkowo nie wykluczyły możliwości, że Rado, przedsięwzięcia pewną sumę pieniędzy dla kuriera grupy wywiadowczej działającej we Francji. Spotkania miały nastąpić w ostatnich dniach marca w Lozannie i na początku kwietnia w Genewie.

Zgodnie z poleceniami „Jim” przybył w oznaczonym czasie do Lozany na umówione miejsce, lecz kuriera nie zastał, dopiero w drugim terminie, w tenowie, oszło między nimi o spotkanie. „Jim” miał przekazać kurierowi dosę znacząca sumę pieniędzy w szwajcarskiej walucie. Nie dysponując jednak taką dużą sumą „Dora” ustalił, że „Jim” spokosa się z kurierem ponownie po upływie kilku tygodni. W czasie spotkania nie zostało nie szczegółów, „Jama” zastanowił jednak fakt, iż ów wysłannik francuskiej grupy stał przebywał w Szwajcarii jak też i to, że nie nie wiedział o pieniądzach, które miał otrzymać. Termin następnego spotkania uzgodniono na początek maja, tym razem w Bernie, w okolicach dworca kolejowego. „Jim” znów przywiózł tylko część pieniędzy, zaś resztę suny obiecał przekazać przy następnym spotkaniu. Już miał się pożegnać z kurierem, gdy ten wyjął nagle z torczy paczkę opakowaną w jaszkrawo pomarańczowy papier, podał ją „Jimowi” i oddał się. „Jim” wydawał się być zupełnie zaskoczony przesyłką z Francji. Centrala o niezym takim nie wspominała. Na dodatek to jaszkrawo opakowanie zwracające uwagę. Niedopażenie, a może postępek? Człowieka z taką paczką łatwo przecież śledzić. Nie namyślając się długo „Jim” zatrzymał taksowkę i pojechał w kierunku centrum miasta. W pewnym momencie, gdy mijali publiczny szalek kazał szoferowi zatrzymać wóz. W szalecie rozpakował paczkę. Była w niej książka. „Jim” uważnie obejrzał kopertę, w której się znajdowała. Była zrobiona z papieru wysokiej jakości, papieru, którego nie można było spotkać w czasie wojny w żadnym kraju, poza Szwajcarią. Znowo panowały go wątpliwości. Może to jednak nie był błąd kuriera grupy konspiracyjnej, może to prowokacja? W każdym razie na wszelki wypadek musi zabić ślad. Opałkowawszy książkę w gazecie, którą miał przy sobie, „Jim” wrócił do taksowki. Po kilku kilometrach przesiadł się do innej, krążył jakiś czas na peryferiach Berna, po czym wrócił na dworzec i wszedł do pociągu odjeżdżającego do Lozany. W czasie najbliższego seansu łączności poinformował Centralę o całej historii. Rychło okazało się, że jego podejrzenia były słuszne. Kurier był podświadomie przykrywką, „Dyrektor” polecił „Jimowi”, aby nie wychodził na następne spotkanie z łącznikiem, które uzgodnione było na początek czerwca, informując go, iż pieniądze zostaną przekazane do Francji inną drogą. Wskazywało to zarazem na to, że Centrala jeszcze nie wiedziała o zlikwidowaniu francuskiej sekcji „Czerwonej Orkiestry” przez niemiecki kontrwywiad. Jednocześnie „Dyrektor” zalecił „Jimowi” dokonanie zmiany lokalów oraz przerwy w łączności z Centralą aż do odwołania, szwajcarzy tylko na odbyte jeszcze jednego spotkania z „Dorą”. „Jim” jednak, sądząc, iż nie jest śledzony, nie nie powiedział Sandorowi Rado o zaleceniach „Dyrektora”. W międzyczasie okazało się, że również u „Sissy” nie wszystko jest w porządku.

W końcu czerwca zaczęła bowiem otrzymywać anonimowe telefony, z których wynikało, iż ktoś chce pilnie rozmawiać z jej mężem. Jakis nieznanzy jej człowiek nalegał na spotkanie, powołując się przy tym na niektórych pracowników konsulatu francuskiego w Lozannie. Gdy i to nie przyniosło rezultatu, niezamajomy wymienił nazwisko — Aleksandra Foote’a, ale ponieważ „Sissy” nie znała „Jima”, więc to nazwisko niczego jej nie wyjaśniło, przeciwnie, wzbudziło dalsze podejrzenia, którym podzieliła się z Rado. Dopiero od niego dowiedziała się, że Foote współpracuje z grupą. Również „Jim” był poważnie zaniepokojony telefonem, jaki otrzymał od „Sissy”, której też nie znał. Uspokoiwszy i jego „Dora” zaczął się zastanawiać, co dalej robić w tej niejasnej sytuacji. Niebawem przyszło wyjaśnienie. Z depechy Centrali wynikało, że w Faryzu aresztowano jednego z członków francuskiej grupy wywiadu radzieckiego — „Maurice’a”. Widać gestapo musiało uzyskać od niego szereg informacji, w tym także o siatce działającej w Szwajcarii. Centrala oceniła kroję podjęte przez kontrwywiad niemiecki w następstwie tego faktu jako bardzo groźne dla bezpieczeństwa i dalszego skutecznego działania sekcji „Dory”. „Dyrektor” polecił więc, aby również „Sissy” przetrwała na jakiś czas swoją działalność. Ona jednak nie chciała się na to zgodzić, za jej pośrednictwem utrzymywano przecież kontakty z „Lucie”. Ultra-łączność z Rösslerem pozabawiliby grupę najcenniejszych źródeł informacji. Sytuacja stawała się więc coraz trudniejsza. Wokół siatki wywiadowczej „Dory” stopniowo zaczął się pierścień wroga. Rozsadek nakazywał czasowo przerwać działalność, aby usnąć czujność Niemców. Ale czy można to było uczynić w chwili, gdy na froncie wschodnim rozgorzały walki mające zdecydować o losach wojny?

PIOTR SŁOWIKOWSKI

MARIONETY I AKTORZY

Klub Plastyków „Piwnica” zaprasza — pod takim zazwyczaj tytułem pojawiają się w łódzkiej prasie codziennej informacje o wizytach interesujących twórców. Także i twórców teatru, co urozmaica życie teatralne miasta, dość odizolowane od zjawisk krajowych w tym względzie, jeśli nie brać pod uwagę Studenckich Spotkań Teatralnych, czy sporadycznych wizyt Pantomimy Wrocławskiej. Robią więc Plastycy dobrą robotę teatralną.

Zaproszonych twórców teatru łączy zazwyczaj wspólna cecha — silne związki z plastyką, co w wypadku wyznawców Melpomeny, ma na naszym gruncie silne tradycje. Istnieje przecież termin „polska szkoła scenografii”, za którym kryją się nazwiska m. in. Władysława Daszewskiego, Iwo Galla, Andrzeja Pronaszki, Jana Kosłowskiego czy współczesnych — Józefa Szajny, Tadeusza Kantora, Krzysztofa Pankiewicza, zmarłego niedawno Konrada Swinarskiego, którego wczesne zainteresowania skierowały na studia plastyczne.

Wystawę sceniczną, czyli to co się widzi, jako jeden z sześciu podstawowych składników tragedii, uznawał już Arystoteles. Teatr nie jest tworem scenografów. Niemniej jednak aspekt wizualny, wypełniający przede wszystkim sferę znaków stabilnych, znacząco wspiera wypowiedź teatru, powstającą w zintegrowanym procesie twórczym. Znaki stabilne wyznaczają bazę semantyczną komunikatu, wpływają na jego zawartość. Z pewnością więc w poszukiwaniach inscenizatorów — scenografów dostarczyć można jedno z podstawowych źródeł zniesienia tradycyjnego podziału na widowie i scenę, przekształcając miejsca teatralnego i wszelkich zmian, jakie te przekształcenia powodują. Prace Tadeusza Kantora wiążą go również z tym kierunkiem ewolucji widowiska teatralnego. Już w ostatnich latach wojny aranżował on we własnym mieszkaniu w Krakowie spektakle, środkami „teatru integralnego”, w którym generalną rolę odgrywał kostium i rekwizyt, przemieszczający się wraz z aktorem wśród publiczności.

Później, w latach 60., zyskał Kantor miano czołowego twórcy happeningów. W inscenizacjach „Mątwy”, „Nadobniśców i koczodanów”, „Kurki wodnej” Witkacego, proponował coraz szerszą zabawę zespołu i audytorium. Zyskał bodaj i wtedy największą naśladowców. W manifestie artystycznym, napisanym z okazji ostatniego spektaklu Teatru „Cricot 2” — seansu pt. „Klasa umarła”, Kantor ponownie odcina się od teatru akademickiego, ale także (i ponownie) wskazuje na pseudoawangardowe manipulacje innych twórców teatru.

„Jesteśmy świadkami Pospolitego Ruszenia artystów komandosów, kombatanów ulicznych, artystów-inteligenistów, artystów-hieronoszy, epistologów, domokrążców, kuszarzy ulicznych, właścicieli Biur i Agencji. Ruch

na tej oficjalnej już autostradzie, zagrażający zalewem grafomanii, aktów o minimalnej sygnifikacji, wzrasta się z każdym dniem. Należy ją jak najszybciej opuścić. Nie jest to takie łatwe. Zwłaszcza w momencie apogeum ślepej i protegowanej najwyższym prestiżem Intelaktu osłaniającej i mądrych i głupich — Powszechnej Awangardy”.

Jest w tej wypowiedzi strach przed „gębą” awangardysty, „szumem informacyjnym” jaki ten termin powoduje i w jaki obrócił. Jest wreszcie wielce istotna uwaga o „aktach o minimalnej sygnifikacji”, zagubionej w formalnych poszukiwaniach. Spektakl swój określa Kantor mianem seansu, co kojarzy się wyraźnie z seansami Witkacowskimi. Świadomie stwarza, (nie przywraca!) podział na widzów i aktorów. Stosując marionetę prowadzi zamierzony dyskurs z przemysłowcami Kleista i Craiga, którzy żądali usunięcia z teatru żywego aktora i zastąpienia go marionetą. Manekinem wyzwolonym od uzależnień, emocji, jakim poddaje się aktor, „postacią”, która nie miała wcielać i odtwarzać, ale ujawniać i ukazywać. Sens żądań Craiga zda się być dla Kantora już zdezaktualizowany przez pojawienie się:

„Realności Opisowej, wyrwanej z życia — i możliwości Anektowania jej Wintegrowania w dzieło sztuki przez Decyzję, Gest lub Rytuał. Stało się to fascynacją o wiele silniejszą od realności Skonstruowanej (sztucznie)...”

„Nie sądzę — pisze dalej — aby Manekin (lub Figura Woskowa) mógł zastąpić Żywego Aktora (...). Byłoby to zbyt łatwe i naiwne. Staram się określić motywy i przeznaczenie tego niezwykłego tworu, który pojawił się w moich myślach i ideach. Jego pojawienie się zgadza się z moim przekonaniem coraz mocniejszym, że życie można wyrazić w sztuce przez brak życia, przez odwołanie się do śmierci, przez Pozory i przez Pustkę i brak Przekazu. Manekin w moim teatrze ma stać się Modelem, przez który przechodzą silne odczucie Śmierci i kondycji Umarłych. Modelem dla żywego Aktora”.

Przypisywał Craig powstanie tradycyjnego teatru wdarcu się kobiet do przybytku Boskiej Marionety, podparzeniu i naśladownictwu jej obyczajów, zachowań Kantor neguje te przypowieści, uważając, że właśnie pojawienie się Aktora przed widownią by-

ło rewolucyjne i awangardowe. Był on ludzko podobnym do tych naprzeciw, ale odległym, „obcym jak umarłym”.

„Ten wizerunek człowieka był przekazem jego nowej kondycji ludzkiej, tylko ludzkiej, z jej Odpowiedzialnością i z jej tragiczną Świadomością, mierzącą jego los skalą nieubłaganą i ostateczną, skalą Śmierci (...) Należy rewindykować istotny sens stosunku Aktor i Widz”.

Jednakowoż aktor Kantora nie ma nic wspólnego z aktorem teatru realistycznego, naturalistycznego. W seansie p.t.: „Klasa umarta” przejmują bowiem „śmiertelne” cechy marionety — swojego Craigowskiego modelu. Zasygnalizowane to jest wyraźnie już na początku spektaklu, kiedy aktorzy siedzą w ławkach tak nieruchomo, że trudno odróżnić ich od manekinów. „Żywy” jest tylko inscenizator seansu — Kantor, którego przed mianem — boski demiurg — broni kostium, nie różniący się zasadniczo od innych uczestników seansu. Są oni ubrani „trumiennie”. Czarne garnitury, laskierki, skarpetki, krawaty, białe koszule. Jedność ich grupy, a obojętność wobec widza, podkreślają fryzury — sztywne, manekinowo sztuczne włosy, twarze — umalowane prawie jednako, sztucznie jak woskowych lał. Wszystko pogrążone jest w żalobnej czerni, późniejsza nagość na tym tle wygląda jak trupia biel.

Nawet książki, leżące na ławkach, nasiąknięte są grobowcowym pyłem. Ruch sceniczny w collage'u trudnych do opisaną scenek, cechuje „marionetkowość”, zmechanizowanie do absurdu. Są to jednak kroki, gesty, ruchy jak najbardziej ludzkie. Nagromadzone w swej bezsensownej wielokrotności wiążą postacie, marionetkują je. Całe partie tekstu spektaklu, powtarzane są również wielokrotnie. Odklepuje się na wzór szkolny różne slogany, hasła-symboly wiedzy. W czasie jednego z obrazków aktorka recytuje liczbowy tasemiec. Każdą z liczb różnicuje intonacja tak, że raz jest to liczba-groźba, żądanie, prośba, straszenie, namawianie, zadziwienie, oburzenie i sto innych odcieni. Przy czym owe „stany” komunikuje tylko głos aktorki, która w tym czasie wykonuje niezależne od intonacji gesty, będąc jeszcze bardziej niezależną od poczyną całej grupy w tym czasie. Zmarionetkowanie uczestników seansu uzyskane jest gestem, słowem, bezsensowną ich treścią, nawiązującą w sferze znaczeń słów, do wieści, wiadomości, nauki, przysłów, określeń, wydarzeń.

Wszystko to stwarza komunikat o martwocie Istnienia ludzkiej marionety, uwikłanej w „umarłe dzieciństwo”, „rodzinną maszynę”, „lekcie”, „konszachty z pustką”, „podlizywanie się” i inne sytuacje, których poszczególne seansy nakładają się na obraz teatru automatów.

Byłby ten seans w swej wymowie i dążeniu do przeżycia „Tajemnicy Istnienia” przesadnie tragiczny (tak, że nie tylko strzyżek), gdyby nie bezustannie nawiązania do Witkacowskiej degregolady i nadkabaretu, Gombrowiczowskiego spojrzenia, ironii i humoru przebijających z dna najpoważniejszych scen i swej świadomości teatru. Jest wreszcie w owym rozpatrywaniu „śmiercionośności” swoisty liryzm. Sztuka poetycka ocierająca się o poezję Tadeusza Różewicza. Stanisława Głuchowicza. Pełna mądrej myśli i wyobraźni. Tym bardziej, że komponowana „z realności najbliższej rangi, z przedmiotów najbliższych, które zdolne są ujawnić w dziele sztuki pełną swoją przedmiotowość”.

NIEWOLNIK W TEATRZE ZIEMI ŁÓDZKIEJ



Reżyseria — Jan Perz, scenografia — Rajmund Strzelecki, muzyka — Tomasz Kiesewetter
Na zdjęciu: Jerzy Jonec — Atenion, Tadeusz Trygubowicz — Euporus.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

ABY POZNAĆ SAMEGO SIEBIE

Platońska „Obrona Sokratesa” Kazimierza Dejmka można by nazwać „teatrem faktu politycznego”. Kiedy odbyła się jej prapremiera w 1960 roku poddawano w wątpliwość, czy jest to teatr polityczny. Roman Szydłowski na łamach TRYBUNY LUDU zarzucał „Obronie Sokratesa” „sztuczność ascezę” i odstępstwo Kazimierza Dejmka od „monumentalnego teatru politycznego i wielkich widowisk”. W tej ocenie był jednak osamotniony.

Wszakże proces Sokratesa jest sztuką o potrzebie idei, sztuką o tym, „że trzeba mieć przekonania, trzeba ich bronić, żyć zgodnie z nimi, a nawet w zgodzie z nimi umierać”. Wszakże jest to sztuka mówiąca także o wydarzeniach politycznych, które rozegrały się w rzeczywistości i które dotyczyły osoby wielkiego filozofa i myśliciela epoki peryklejskiej. Trudno nie łączyć Sokratesa i Platona z pełnią życia politycznego owej epoki. Trudno oddzielać fakty biograficzne od faktów politycznych.

Czy „Obrona Sokratesa” nie jest „dramatem faktu politycznego”. Czy jej bohater nie zasługuje na miano „homo politicus” w najczystszym rozumieniu? W 1960 roku niektóre fakty epoki peryklejskiej brzmiały jeszcze nader współcześnie, jak akt oskarżenia, który „wytoczył Sokrates dzisiejszym czasom”. W 1975 roku doszedł do głosu Sokrates — „stary moralista”, który uczy młodych nonkonformizmu. W roku 1960 Kriton i Fedon nosili modne, czarne garnitury, tylko Sokrates ubrano w białą chlamidę. Tylko on bowiem miał być z epoki Peryklesa, a Fedon i Kriton byli współczesnymi nam ludźmi — to oni kładli pomost między W. pne, a naszym wiekiem XX. Natomiast w inscenizacji z 1975 roku Kazimierz Dejmek ubiera wszystkich jednako. epoka peryklejska w kostiumie jest przecież tylko maską i konwencją, problemy etyczne docierają pomimo tego kostiumu.

Postać tytułowa gra Seweryn Butrym. Półwieście lat temu pisano o nim, „że podawał tekst Sokratesa nie retorycznie, nie z wybijaniem logiki argumentów, przeważało liryczne sejszone modowanie frazy, nastrój”. Ta świadoma kameralizacja dawała pierwszeństwo formie, treści pozostawiając tylko funkcję informacyjną.

W nowej inscenizacji Seweryn Butrym jest już dojrzały, nie „bawi” go forma, nastrój co prawda pozostaje, ale jest poza aktorem, jego interesuje tylko intelektualna refleksja. Obronę prowadzi spokojnie, nie nadużywa frazy, jak niegdyś modulowanej, mówi z poczuciem praw retoryki, zdając sobie sprawę z dziejowej roli Sokratesa i jego procesu.

Dualizm interpretacyjny wzbogaca postać kreowaną przez Seweryna Butryma. Z jednej strony jest to egzystencjalny dramat jednostki o głębokich wartościach intelektualnych, z drugiej dramat jednostki w konflikcie ze zbiorowością, która nie rozumie jej „moralnego posłannictwa”.

Mówi się o Sokratesie, że był twórcą humanizacji filozofii. W centrum jej zainteresowań widział człowieka z jego powołaniem, moralną postawą, wartościami etycznymi i intelektualnymi. Pamiętają o tym zarówno Kazimierz Dejmek, jak i Seweryn Butrym (kreując Sokratesa — poznaje samego siebie), nie uciekając od Sokratesa — człowieka, „który chciał jako filozof nie tylko myśleć i nauczać, lecz żyć i umierać”.

Platon „Obrona Sokratesa”, przekład: Władysław Witwicki, układ tekstów i reżyseria: Kazimierz Dejmek, scenografia: Henri Poulain, w rolach Kritona i Fedona wystąpili Wojciech Pilarski i Janusz Peszek.

ŁÓDZIANIE - 75

RYSZARD BINKOWSKI
ZENON HODOR
LESZEK JEZERSKI
KAZIMIERZ KARPIŃSKI
ZBIGNIEW KUCHOWICZ
EWA MIROWSKA
OLGA OLGINA
ANTONI SZRAM
JANINA SZYDLECKA
EWA WYCICHOWSKA

IMIĘ I NAZWISKO:

ADRES:

ZAWÓD:

Ponownie drukujemy kupon konkursowy i przypominamy, że ogłoszony w numerze 51/52 „Odgłosów” plebiscyt „Łodzianie — 75” trwa.

Zwycięcy w plebiscycie otrzymają od nas pamiątkowe talerze metalowe z herbem miasta. Natomiast uczestnicy głosowania otrzymają wartościowe nagrody, które rozdajemy wśród wszystkich nadawców kuponów.

Będą to:
nagroda I — radiodbiornik transzysiorowy
nagroda II — aparat fotograficzny
nagroda III — zegarek na rękę oraz pięć wyróżnień książkowych.

Wypełnione kupony plebiscytu prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji do 1 lutego 1976 roku na kopertach z napisem „ŁÓDZIANIE 1975”.

O wynikach plebiscytu i nagrodach za udział w konkursie poinformujemy naszych Czytelników w jednym z numerów marcowych w przyszłym roku.

U PRZYJACIÓŁ

Pierwszy tegoroczny numer czasopisma KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego „Partijnaja Zimn” zamieścił tematykę zajęć szkoleniowych, wykładów lektorskich i dyskusji związanych z popularyzacją projektu dokumentu Komitetu Centralnego KPZR na XXV Zjazd Partii pt. „Podstawowe kierunki rozwoju gospodarki narodowej ZSRR w latach 1976-1980”. Opublikowana lista obejmuje 30 wybranych węzłowych tematów z dziedziny ideowo-politycznej, społecznej, ekonomicznej, socjalnej i innych.

Prasa jugosławińska poinformowała o wyrokach, jakie zapadły w Splicie po rozprawie przeciwko grupie terrorystów ustaszowskich. Główny oskarżony, który otrzymał 20 lat ciężkiego więzienia, mieszkał i pracował w RFN. Od 1964 r. należał do ustaszowskiej organizacji terrorystycznej na emigracji. Powiązany był też z grupami faszystowskimi we Francji i Włoszech. 21 czerwca ub. roku luksusowym samochodem, prowadzonym przez 21-letnią Barbarę Plachetko, Vinko Bariszic chciał przekroczyć granicę SFRJ, wioząc ładunki wybuchowe o wielkiej mocy rażenia. Na granicy został ujęty. Na rozkaz przelozonych Vinko Bariszic miał podłożyć ładunki w takich miejscach w Dalmacji, by spowodować jak najwięcej ofiar w ludziach.

W Splicie skazano równocześnie na kary od roku do 6 lat więzienia sześć osób, które znaly plany głównego oskarżonego, miały mu udzielić ewentualnej pomocy, a zbrodniczych zamiarów nie ujawniły. Siódma osoba została uniewinniona.

W myśl porozumienia o bezpośredniej wymianie artykułów przeznaczonych na rynek wewnętrzny, zawartego z krajami członkowskimi RWPG, Węgry dostarczą w tym roku swym partnerom towary wartości 70 mln rubli i na taką sumę sprowadzą towary z krajów RWPG. Obróty w ramach bezpośredniej wymiany artykułów na rynek wewnętrzny znacznie wzrosną w bieżącym roku. Wartość takiej wymiany ze Związkiem Radzieckim i NRD wzrośnie o 20 proc.

W ramach dostaw towarów wzrosła rola t.zw. wymiany homogennej, na podstawie której strony dostarczają sobie towary o tym samym przeznaczeniu, np. obuwie za obuwie. Chodzi o to, że jak wykazała praktyka, tego rodzaju porozumienia przyczyniają się do realizacji pierwszoplanowego celu: rozszerzenia asortymentu towarów na rynku wewnętrznym.

Wartość wzajemnych dostaw obuwia wynosi zarówno po stronie eksportu jak i importu 10 mln rubli. Ok. 15 proc. obuwia znajdującego się w sprzedaży na Węgrzech pochodzi z Czechosłowacji, NRD, Rumunii i Polski. Obróty artykułami konfekcyjnymi między Węgrami i innymi krajami członkowskimi RWPG osiągną w tym roku wartość 26 mln rubli. W ramach tej sumy Węgry zaimportują odzież młodzieżową różnego rodzaju na sumę 3 mln rubli z NRD, Bułgarii i Rumunii.

Wartość wymiany artykułów przemysłu spożywczego wyniesie 6,5 mln rubli. Największą część importu węgierskiego stanowią piwo i konserwy rybne.

Do stolicy Kuby przybył z pięciodniową wizytą oficjalną prezydent Panamy gen Omar Torrijos. Przeprowadzi on rozmowy z premierem Fidelem Castro.

Narodzinom nowego, niepodległego państwa afrykańskiego — Ludowej Republiki Angoli — od początku towarzyszyły zacięte walki domowe, sprokrowowane i rozpętane przez sily imperialistyczne.

12 listopada 1975 roku, dwadzieścia cztery godziny po ogłoszeniu niepodległości, w Luandzie, stolicy państwa, poinformowano, iż Zair (do 1971 roku: Demokratyczna Republika Konga — red.) koncentruje wojska wzdłuż granicy integralnego terytorium Angoli — enklawy Kabindy. Zresztą na północ i południu kraju już od dość dawna toczyły się zacięte walki między wojskami Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli (MPLA) a zjednoczonymi, rozłamowymi silami Narodowego Frontu Wyzwolenia Angoli (FNLA) i Narodowego Związku na Rzecz Pełnej Niepodległości Angoli (UNITA), wspieranymi przez regularne wojska Republiki Południowej Afryki i rodezyjskich najemników.

Interwencja RPA i Rodezji w wewnętrzne sprawy Angoli nabiera coraz większego rozmachu. Pojawienie się w bandach FNLA i UNITA ciężkich czołgów i śmigłowców świadczy o dążeniu do zdławienia Republiki Angoli. Zagraniczni obserwatorzy podkreślają zgodnie, że jeśli nawet FNLA i UNITA odniosły tu i ówdzie pewne lokalne sukcesy militarne, to tylko dzięki szczodrej pomocy w ludziach i sprzęcie wojskowym „niektórych” państw.

Rozwój wydarzeń w Angoli ujawnił, iż w zbrojnej napaści na Angole rolę sily uderzeniowej odegrały regularne wojska Republiki Południowej Afryki, wydatnie wspomagane przez profesjonalnych najemników. Oto kilka doniesień zachodnich agencji informacyjnych:

„AGENCE FRANCE PRESSE” (z Johannesburga). „Ukazująca się w Johannesburgu gazeta „Star” podaje, iż setki amerykańskich najemników walczą już w Angoli i że, jak się oczekuje, liczba ich w oddziałach UNITA i FNLA wzrosła. Tym byłym amerykańskim żołnierzom — wielu z nich brało udział w wojnie wietnamskiej — płaci się 1105 dolarów amerykańskich miesięcznie.

David Bowkin, były spadochroniarz 11 dywizji powietrzno-desantowej, obecnie jeden z prowadzących werbunek w Stanach Zjednoczonych, który „nawiązał już kontakty z Johannesburgiem i Salisbury”, powiedział: „Moja praca polega na doborze najemników. Rozpatruję zgłoszenia, wybieram najlepszych. Wysłałem już 25 ludzi i mam jeszcze 60, których mogę wysłać za dwa tygodnie.

Bart Bonner, także uczestnik wojny wietnamskiej, przyznał, że werbuje najemników: „Dwóch spośród naszych chłopców przebywa w Rodezji, a jeszcze dwóch zostało schwytych w Botsanie. Nazywają ich Craig Acheron i Joe Balisario. Bonner powiedział: naszym głównym celem jest niesienie pomocy RPA. Jeżeli tego nie uczynimy — stracimy jeszcze jeden kraj. Nie wiemy, kto to dymisji. Istnieje wiele potencjalnych źródeł: południowoafrykańskie, zairskie, portugalscy biznesmeni, a nawet, być może, Amerykanie.”

„ASSOCIATED PRESS” z Namibii: „Rząd RPA wysyła żołnierzy przez granicę między Południowo-Zachodnią Afryką (Namibią) a Angolą.

Wojska RPA kontrolują rejony o-

taczające elektronię wodną i kompleks nawadniający na rzece Kunene, i utrzymują ścisły kontakt z oddziałami FNLA.

Ernst Hal, oficer dowodzący wojskami w tym okręgu, powiedział, że rozłożono tu duże obozy wojskowe. W dolnym biegu rzeki, w Rwaka, gdzie powstaje jeszcze jeden kompleks trygajny na rzece Kunene, wojska RPA utworzyły na terytorium Angoli punkt oporu w Fort-Louis.

Gen. mjr Jack Dutton, szef operacyjnego sztabu armii Republiki Południowej Afryki przyznał, iż patrol jego wojsk działające z baz w Namibii, stale przenikają do Angoli.”

„REUTER” (z Angoli): „Wojskowe śmigłowce RPA dostarczają zaopatrzenie do Szitado, wysuniętej bazy o dużym znaczeniu strategicznym, zajętej

Południowoafrykanie, Francuzi, Belgowie, Anglicy i Niemcy. Brygada dysponuje czołgami i śmigłowcami dostarczonymi z RPA wraz z obsługą. Oddziały FNLA liczą około 6000 żołnierzy regularnej armii zairskiej, pozostających pod rozkazami zairskich oficerów. W skład tych oddziałów wchodzi także około 1000 portugalskich najemników, a wśród nich pewna liczba lotników z wynagrodzeniem 2000 dolarów miesięcznie. Portugalscy najemnicy należą w większości do tzw. „portugalskiej armii wyzwolenia” — organizacji militarnej stworzonej przez gen. Spinozę, której celem jest obalenie obecnego rządu w Portugalii. W FNLA, obok Portugalczyków, działa około 200 amerykańskich doradców oraz chiński instruktorzy.”

rodziły się w prawdziwą wojnę. Zaciętość, z jaką sily neokolonialne dążą do zdławienia Ludowej Republiki Angoli, jak i cała wojskowo-polityczna sytuacja w południowej części Afryki staje się jeszcze bardziej zrozumiała, jeśli wspomnieć o sporządzonym przez departament stanu USA spisie 33 rodzajów surowców, ważnych pod względem strategicznym (fakt ten podaje rzymski tygodnik „L'Espresso”), które Waszyngton uważa za niezbędne utrzymać pod swoją kontrolą. Ziemia afrykańska kryje je akurat na osi Zair — Angolia — Namibia — Republika Południowej Afryki. To właśnie ta idea poroniła rozłamowy, separatystyczny FNLA, popierany przez Stany Zjednoczone (dolarzy), Zair (żołnierze), Chiny (instruktorzy) i Francję (broń). Można ją sprzeczyć w kilku słowach: Utrzymać w ręku Północną Angole, zasobną w złoto, diamenty, naftę i kawę...

A teraz Namibia: terytorium mandatowe Ligi Narodów, zaanektowane po II wojnie światowej przez RPA. Jej północny skrawek leży na terytorium Angoli. Namibia (lub inaczej Afryka Południowo-Zachodnia) przylega do Angoli od południa. Liczy około 750 tys. mieszkańców, w tym sporo kolonistów pochodzenia niemieckiego. Opadów mało, krajobraz pustylny i półpustylny. Jednakże Namibia słynie z niesłychanie bogatych złóż miedzi i diamentów, a także niemiernie słynnych kolonistów. Osiedlili się tutaj, jak określił to S. MacBride, przewodniczący komisji ONZ do spraw dekolonizacji Namibii: „najbardziej zagorzali zwolennicy kolonializmu, fanatycy rzeźniczy czystości białej rasy; dotąd śpiewają nazistowski hymn, wywieszają flagi ze swastyką i świętują urodziny Hitlera...”

Reżim Republiki Południowej Afryki nie dopuszcza nawet myśli, iżby mógł kiedykolwiek wypuścić z ręki bogactwa Namibii i w imię tego gotów jest nawet pójść na kompromis — swego rodzaju podział strefy wpływów — z plemieniem Ovambo, które tworzy podstawową sily najbardziej liczącej się politycznej organizacji Namibii — SVPO (Narodowa Organizacja Południowo-Zachodniej Afryki). Rząd w Pretorii proponuje plemionom Ovambo natychmiastową niepodległość i odstąpienie kopalni miedzi w Cumeba, w zamian za utrzymanie w swym ręku ponad połowy kraju, włącznie z rejonami południowymi zasobnymi w złóża diamentów i gdzie wodzowie plemion są bardziej skłonni do ustępstw politycznych.

Bogactwa Angoli były zawsze przedmiotem pożądania międzynarodowych monopolów, które mówią dzisiaj otwarcie o planach rozczłonkowania Angoli, RPA dąży bez skrępowań do przekształcenia Angoli w bastion kapitalizmu w południowej Afryce i znajduje w tym szerokie poparcie światowego imperializmu, dążącego do umocnienia pozycji neokolonializmu na afrykańskim kontynencie. Dlatego właśnie niektóre kraje zachodnie tak aktywnie pomagają rozłamowym organizacjom: FNLA i UNITA.

Jedynym autentycznym ruchem niepodległościowym w Angoli jest MPLA — Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli. I nie dlatego, że kontroluje dziś 3/4 kraju, lecz przede wszystkim dlatego, iż jest to jedyna zorganizowana sily nie oparta na podstawach plemiennych, która konsoliduje do walki przeciwko agresji różne grupy etniczne oraz szerokie warstwy najbardziej uświadomionej ludności miejsciej.

JERZY CZECH



przez oddziały wojskowe działające przeciwko MPLA.

Dla rządu RPA, który „nie utrzymuje oficjalnych kontaktów” z UNITA i FNLA, dostarczanie tego zaopatrzenia wojskowego jest operacją bardzo ważną, liczy on bowiem na to, iż „zawojuje w ten sposób serca i umysły” ludności Południowej Angoli...”

Takich informacji, niejako z „pierwszej ręki”, świadczących o jawnej agresji sily imperialistycznych przeciwko Angoli oraz zaopatrywanie angolańskich separatystów w broń przez niektóre państwa zachodnie i USA, można by zacytować znacznie więcej. W świetle tych faktów oskarżenie Związku Radzieckiego i krajów socjalistycznych „o ingerencję w wewnętrzne sprawy Angoli” jest co najmniej humorystyczne. Nawet jeśli wzmiesz i wobec wiadomo, iż taka insynuacja ma „odpowiednio” urobić opinię światową.

„JEUNE AFRIQUE”, tunezyjski tygodnik społeczno-polityczny, podaje, iż „oddziały UNITA składają się z kilkuset żołnierzy wyborowych oddziałów armii zairskiej — spadochroniarzy i pododdziałów desantowych — oraz samodzielnej brygady białych najemników, w liczbie 1000-1200 ludzi, pod dowództwem byłych oficerów armii portugalskiej. W skład tej jednostki wchodziły były agenci portugalskiej policji politycznej — PIDE,

Potęga Angoli, ale jednocześnie i przyczyny jej obecnych trudności wypływają z tego samego źródła: z nieprzebranych bogactw naturalnych. Działające wydarzenia w Ludowej Republice Angoli są konsekwencją polityki potężnych sily. Wnętrze ziemi tego kraju, o powierzchni 1.246.700 km² i 6 milionach mieszkańców, kryje przebogate złóża miedzi i żelaza, manganu i fosfatów, złota i diamentów... Ale prawdziwą perłą tej najmłodszej afrykańskiej republiki jest Kabinda, położona w północnym rejonie Angoli, nazywana „afrykańskim Kuwejtem” z racji najbogatszych złóż ropy na całym wybrzeżu Oceanu Atlantycznego. Ten motyw wyjaśnia zaciętką walkę o wyłączenie Kabindy spod kontroli MPLA. Powierzchnia Kabindy liczy zaledwie 7,6 tys. km²; zamieszkuje ją około 80 tysięcy Afrykanów, plemion Bakongo. Ale wzdłuż wybrzeża Kabindy, siedem gigantycznych platform amerykańskiej kompanii „Gulf Oil” wypompuje z dna morskiego 10 milionów ton ropy rocznie. W przeciągu najbliższych 5-6 lat wydobyte ropy naftę wzrosną do 80 milionów ton, tj. zrówna się z planowanym wydobyciem ropy na Alasce. A jeszcze złoto, diamenty, kawa...

Łatwo już teraz wyjaśnić dlaczego, w odróżnieniu od Mozambiku, gdzie w czerwcu ub. roku niepodległość przyjęto bez specjalnych wstrząsów, w Angoli partyzanckie potyczki prze-

■ ZNÓW KRYZYS WE WŁOSZACH ■ GORĄCZKA PRZEDWYBORCZA W USA ■ ZAMACHY W IRLANDII PŁN. ■ A. GROMYKO W JAPONII

Nie dla wszystkich nowy rok rozpoczął się pod dobrym znakiem. We Włoszech na przykład wybuch kolejnej kryzys rządowy. 33. w powojennej historii Włoch, utworzony zaledwie w listopadzie ub. roku, gabinet Aldo Moro podał się do dymisji. Przyczyną była decyzja kierownictwa Włoskiej Partii Socjalistycznej (PSI) o wycofaniu się z większości rządowej. Jak to zazwyczaj bywa w takiej sytuacji — prez. Leone zastrzegł sobie zwłokę w zaakceptowaniu dymisji, ale rozpoczął konsultacje w sprawie powołania nowego rządu.

Kolejny kryzys przychodzi w trudnych warunkach Włoch, przede wszystkim gospodarczych. Nie wydaje się jednak, aby mogło dojść do rozwiązania parlamentu i przedterminowych wyborów. Przeciwnie takiej możliwości opowiadają się partie polityczne, rozumiejąc, że musiałyby to odwieść pilne rozwiązania gospodarcze. A właśnie nieustosunkowanie się rządu Moro do naglących postulatów PSI w sprawie zmiany kierunków polityki ekonomicznej i zagwarantowania zatrudnienia stało się przyczyną wycofania Włoskiej Partii Socjalistycznej.

Z artykułu „Unity” wiemy, że Włos-

ka Partia Komunistyczna była przeciwna wywoływaniu w chwili obecnej kryzysu rządowego, uznając za celowe przede wszystkim przyjęcie przez parlament dwóch doniosłych ustaw — o możliwości przerywania ciąży i o programach gospodarczych. Wyjaśnijmy, że po raz pierwszy w historii Włoch uznano prawo kobiety do decydowania o przerwaniu ciąży, jeśli przemawiają za tym względy ekonomiczne, socjalne i rodzinne. Projekt ustawy został zaakceptowany przez dwie komisje parlamentarne: sprawiedliwości i zdrowia i właśnie miał wejść pod generalną dyskusję.

Cała sprawa ma znaczenie nie tylko społeczne, ale i polityczne. Podobnie jak swego czasu ustawa rozwodowa — projekt ustawy o przerywaniu ciąży spotkał się z oporem sily konserwatywnych. Gdyby w parlamencie zablokowały one jego uchwalenie — najprawdopodobniej znów rozpisano by ogólnonarodowe referendum. Dymisja gabinetu może uniemożliwić podjęcie teraz decyzji i spowodować zwłokę, korzystną dla przeciwników ustawy. Tym bardziej, że nikt nad Tybrem nie wie, jak długo Włochy będą bez rządu.

Z innych powodów niespokojnie rozpoczął się rok w Stanach Zjednoczonych. W połowie roku odbędą się Kongresy dwóch największych partii politycznych, na których ustaleni zostaną kandydaci każdej z nich na prezydenta i wiceprezydenta USA.

Jak wiemy, chęć kandydowania zgłosił Gerald Ford. Dla Partii Republikańskiej jest to wygodna sytuacja. Kandydat, będący już prezydentem, zawsze korzystał z pewnych przywilejów i miał nieco większe szanse. Tym razem jednak chodzi o szczególnie przypadek — Ford został przecież prezydentem nie z wyboru a nominacji. Dlatego pojawiła się już kontrkandydatura — Ronald Reagan. Jeszcze bardziej złożona sytuacja jest w Partii Demokratycznej — można doliczyć się dziesięciu, ubiegających się o nominację konwencji. Najczęściej przy tym wymieniana jest nazwisko Georga Wallace, człowieka bardzo kontrowersyjnego, orędownika separacji rasowej. Trudno sobie wyobrazić, aby otrzymał on mandat partii, chociaż ma wielu zwolenników.

Szansę poszczególnych kandydatów sprawdzone zostaną wiosną w prawyborach, jakie odbywają się w poszczególnych stanach. Stąd już gorączka wyborcza, pod znakiem której mijają pierwsze dni roku.

W jeszcze innym punkcie kuli ziemskiej — w Północnej Irlandii rok rozpoczął się od nasilenia akcji terrorystycznej. Agencje donosiły o nowych zamachach i krwawych ich ofiarach. Działania te należy wiązać z debatą w Izbie Gmin na temat Irlandii Płn.

Podstawę tej dyskusji stanowi raport, przedłożony przez tzw. konstytuante Ulsteru. Niestety — nie przedstawia on żadnych rozsądnych propozycji rozwiązania problemu. Błędne koło nie zostało więc przerwane i nie widać końca bratobójczych walk, które przecież trwają już szósty rok.

Wydarzeniem początku roku jest na pewno wizyta radzieckiego ministra Spraw Zagranicznych — A. Gromyki w Japonii. Poprzednia miała miejsce równo cztery lata temu.

W komentarzach, poprzedzających wyjazd, podkreślano, iż rozmowy radziecko-amerykańskie będą dotyczyć stanu stosunków bilateralnych oraz bezpieczeństwa w Azji. W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że współpraca gospodarcza między obu krajami stale się rozwija. W latach 1957 — 74, a więc po podpisaniu pierwszej umowy handlowej wzajemne obroty wzrosły ponad 100 razy, szczególnie tendencje powiększania się wykazują w ostatnim czterolecu.

Wagę dialogu na płaszczyźnie politycznej podkreśla fakt, że są to pierwsze na takim szczeblu rozmowy radziecko-japońskie „w erze powietnamskiej i pohelskiej”.

Wybraliśmy tylko cztery wydarzenia, zresztą bardzo różne, aby na ich przykładzie wykazać, jakie to problemy u progu nowego roku wchodzi na pierwsze stronicie dzienników.

W. SŁAWSKI

KREWETKI W SOSIE WŁASNYM

We współczesnym społeczeństwie, przy wysokim tempie życia, informacja odgrywa podstawowe znaczenie. Michał Szulcowski w książce pt. „Informacja — element pokojowego współistnienia” tak definiuje rolę informacji w naszym życiu: „Najogólniej informację określić można jako coś, co usuwa lub zmniejsza niepewność, a poprawiając samopoczucie ludzi — wpływa na ich zachowanie, na podejmowane przez człowieka decyzje”.

Wprowadził Michał Szulcowski pisze o informacji dotyczącej życia politycznego, społecznego i gospodarczego, ale ta definicja pasuje jak ulał do spraw mniejszej wagi, do informacji, która powinna nam towarzyszyć w każdej niemal dziedzinie życia, w tej najbardziej prozaicznej również. A mnie właśnie chodzi o informację w naszym życiu codziennym.

Gdzieś w drugiej połowie ubiegłego roku ukazały się w łódzkich gazetach informacje o tym, że na przełomie listopada i grudnia 1975 roku abonenci telefonów Łodzi i byłego województwa łódzkiego otrzymają nowe książki telefoniczne. Ostatnio „Dziennik Popularny” sprostował tę, pierwotną informację, podając, że książki telefoniczne dla Łodzi ukazuje się dopiero w marcu 1976 roku. Natomiast książki telefoniczne dla województwa: piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego ukazuje się dopiero w połowie 1976 roku. Nie mamy absolutnie żadnej pewności, że terminy podane przez „Dziennik Popularny” za dyrekcją Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi są miarodajne i będą dotrzymane. I nie jest to wina wspomnianej dyrekcji, gdyż — jak informuje „Dziennik Popularny” — całość wydawania książek telefonicznych zmonopolizowały Wydawnictwa Komunikacyjne, które nawet nie odpowiedziały na postulaty i propozycje łódzian przekazane im przez dyrekcję Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi.

Myślę, że nikogo nie trzeba przekonywać, jak ważną informacją, a właściwie zbiorem informacji, jest książka telefoniczna. Dziś, kiedy w Łodzi dokonują się gwałtowne zmiany, kiedy niemal stale zmieniają się numery telefonów różnych instytucji, instytucje te zmieniają nazwy, adresy, kiedy ludzie przeprowadzają się do nowych osiedli, a te szybko rosną w szeregach, książka telefoniczna, aktualnie podająca prawdziwe informacje jest skarbem ułatwiającym ludziom życie. Niestety, pozbawieni jesteśmy takiego skarbu i — co gorsza — nie mamy żadnej pewności, że kiedy otrzymamy nowe wydanie łódzkiej książki telefonicznej, to część zawartych tam informacji nie będzie już zdezaktualizowana? A przecież można byłoby chyba znaleźć jakąś skuteczną formę aktualizowania informacji z książki telefonicznej, która — jak powszechnie wiadomo — nie ukazuje się co roku.

Bieżące, dokładne informacje są potrzebne nie tylko przy korzystaniu z telefonu. Ostatecznie można po godzinie czasu dozwonić się do informacji (pod 03) i otrzymawszy tam nieaktualny już numer poszukiwanego telefonu, prowadzić nadal przez wiele godzin śledztwo, aby wykorzystując różne metody dojść wreszcie do prawdy. Nie winię za to pań z informacją, gdyż przekazują one zainteresowanym tylko takie dane, jakie same posiadają. Bieżące, dokładne informacje potrzebne są też w handlu.

W sklepach ukazuje się mnóstwo różnych nowości, o których wiadomo, że to nowości, ale nie wiadomo co z tą nowością zrobić. Aby nie być głośliwym, kilka przykładów:

Przykład pierwszy: „Herbapol” przygotowal zestawy przypraw, dołączające do nich folderek, w którym charakterystycznie każda z przypraw. Poszczególne przyprawy można później sobie dokupić, w miarę wyczerpania. Natomiast „Winiary” też przygotowały podobny zestaw, ale już bez wyjaśnienia, jaki jest skład i do czego służy np. „przyprawa chińska”, czy „przyprawa włoska”.

Przykład drugi: w Warszawie i Łodzi w delikatesowych sklepach „Centrali Rybnej” można kupić wiele atrakcyjnych zagranicznych konserw. Ale konia z rzędem temu, kto wie, jak je spożywać. Jeszcze pół biedy, jeśli przepis podany jest w języku angielskim, niemieckim lub rosyjskim. Ale co robić z konserwami, które sprowadzono z Holandii, czy Szwecji?

Kupiłem krewetki w sosie własnym. Nie powiem — nawet jadłem. W pokrozie ducha i w umartwieńcu, jako pokutę za to, że nie wiem, co się robi z krewetkami. Kupiłem też „muszelki w sosie własnym”. Więcej nie kupie. Podejrzewam, że dla wrażliwionych są to półprodukty, z którymi trzeba walczyć, co robić. Ja nie wiem, ale obserwowani przez mnie inni klienci tych sklepów też nie wiedzą. Pytają o to jedni drugich, pytają ekspedientki. Nikt nie wie, a każdy chciałby spróbować te zagraniczne delikatesy.

Na wielu krajowych już konserwach nie ma daty produkcji i daty ważności. Na wielu produktach nie ma przepisów używania i konserwacji. Co innego, że jak niektórzy znaczną prowadzić te, tak potrzebna działalność, to zaraz popadają w przesadę i wydają niemal powieści na temat jednego artykułu handlowego.

A nam wszystkim — nam klientom sklepów spożywczych i innych, abonentom telefonów i tym, którzy korzystają z automatów telefonicznych, którzy muszą telefonować w biurach, nam wszystkim chodzi po prostu o to, aby prosta, zwięzła i wyczerpująca informacja ułatwiała nam życie.

KRZYSZTOF PIEKARZEWSKI

Po obejrzeniu pierwszego odcinka serialu postanowiłem o nim napisać. Kolejne emisje nie zachwały mego postanowienia, aczkolwiek momentami mój entuzjazm przygasł. Potem brakło czasu na sporządzenie bilansu na tych łamach w porze właściwej dla tygodnika. Teraz myślę jednak, że dobrze się stało, bo mam za sobą lekturę dziesiątków publikacji na ten temat, a nawet wyniki plebiscytu „Studia” 2 (z 10. I.) w którym serial zajął pierwsze miejsce przed „Czterdziestolatkiem”, deklasując pozostałe propozycje. Każdy autor ma oczywiście ambicję, żeby pierwszy (lub równolegle) zgłosić swój sąd przed publicznym forum, ja zdecydowałem się tym razem na coś wręcz przeciwnego.

1. Żeby nie było wątpliwości. Chwałę twórców „Dyrektorów”, wysoko oceniam ich ambitny zamysł i dobry poziom realizacji. Reżyser Zbigniew Chmielewski, scenarzyści Aleksander Minkowski i Andrzej Szypulski, kilkunastu doborowych aktorów i cała ekipa realizatorska — zaprezentowali nam kawał dobrej roboty i odnieśli zasłużony sukces. Odpowiedzieli — na swoim telewizyjnym podwórku — konkretnie na zamówienie społeczne, na zgłaszane nie od dziś postulaty, aby temat współczesny, temat pracy, problemy naszego życia społeczno-politycznego były obecne w tym najbardziej masowym środku przekazu. Twórcy serialu uczynili to tym bardziej skutecznie, że w miejsce ep-

2. kilka wątpliwości i pewną opozycję wobec powszechnej euforii, jaka od lat nie miała miejsca na łamach polskiej prasy.

3. Legitymację sceptycy mam podwójną: od piętnastu lat zajmuję się tak zwanym tematem pracy w literaturze i przez prawie dziesięć lat byłem dyrektorem przedsiębiorstwa na prowincji. Nakłada to na moje spojrzenie filtr subiektywny, ale obiektywizm i bezstronność zostawmy uczonym doktorom. I do rzeczy...

Przed wszystkim chciałbym się ugnieść o literacki rodowód „Dyrektorów”. Nie tylko dlatego, że napisali go dwaj pisarze, Minkowski i Szypulski, ale dlatego że serial jest fil-

6. cji — owego wieloletniego procesu przewartościowania, określenia społecznej roli literatury i jej funkcji w warunkach ustroju socjalistycznego — było znacznie więcej. I to nie tylko w formie czysto literackiej. Są książki, ale były i filmy, widowiska telewizyjne, spektakle teatralne. Krytyka artystyczna jednak na innych obszarach kreowała wielkość, rozdała laury, ograniczając się do okazyjnych grymasów wobec zjawiska o którym mówię. Wielka zastuga kolektywu autorskiego „Dyrektorów” jest w tym układzie, że przerwali tę swobodną znowu niedostrzegania ważnych i potrzebnych zjawisk artystycznych, włączonych bezpośrednio w krwioobiegi naszej współczesności. Serial nie powstał więc w ideowo-artystycznej próżni, na polu niczym, ale jego siła przebiła, dynamiczna koncepcja, nadała mu w sensie recepcji masowej charakter prekursorski. Przecenić tego faktu nie sposób.

7. To co napisałem powyżej może ktoś uznać za nadmierną drażliwość człowieka pióra wobec innych, masowych i popularnych technik przekazu artystycznego. Niech tak nawet będzie. Kolejna refleksja to już na pewno jakieś ziarno niepokoju człowieka, który na swym odcinku zajmuje się praktyczną stroną realizacji polityki kulturalnej. Boję się więc, żeby nam „Dyrektorzy” nie przesłonił całości zadań jakie w tej sferze działania podejmujemy i będziemy musieli w przyszłości podjąć. Z wypowiedzi publicystów,

JERZY WAWRZAK „DYREKTORZY”, KRZYTYCY I PUBLICZNOŚĆ (KILKA UWAG NA MARGINESIE SERIALU)

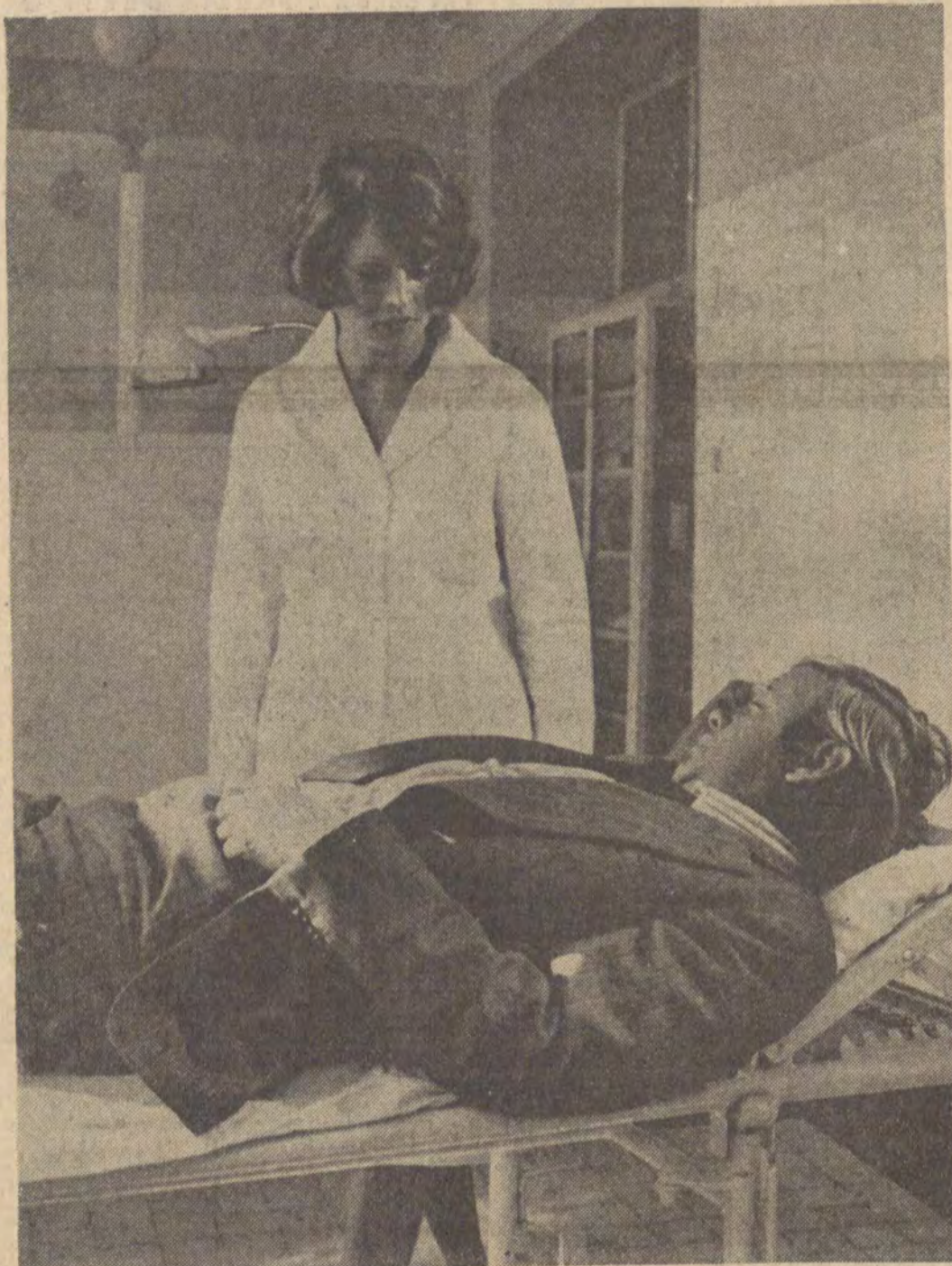


Foto Archiwum

Televizyjny serial „Dyrektorzy”: Grażyna Barszczewska i Stanisław Niwiński w scenie z ostatniego odcinka — „Rzyzykant”.

8. zodiac z teraźniejszości pokazał ciąg znowelizacji z ostatniego piętnastolecia, jakże mocno zakorzenionych w naszej świadomości. Ponadto nie przesłiznęli się po ich marginesach, lecz spenetrowali obszary kojarzące się z przeciętnością naszej rzeczywistości, nie unikając spraw trudnych czy wręcz dramatycznych. W sumie wywołali swą propozycją rezonans o jakim marzy każdy twórca, który swój talent zaprzęga w służbie społeczeństwu. Chwałę więc serial, bez wahania twierdząc, że jest to wydarzenie numer jeden w telewizyjnej produkcji 1975 roku.

A jednak w tej lawinie zachwytów i poklepywania autorów serialu coś mnie drażni i trochę niepokoi. Podobnie liczne sondy przeprowadzane przez gazety codzienne wśród telewidzów, wymagają chyba odmiennego komentarza. Nie chcę się czepiać, szukać dziur w całym, lecz tylko zgłosić

9. mowotelewizyjną egzemplifikacją nurtu czy kierunku od lat zakorzenionego już w naszym życiu literackim. Nurtu, który przeszedł zmienną ewolucję od powieści produkcyjnej lat pięćdziesiątych do jakościowo odmiennych, bogatszych formalnie i głęboko humanistycznych treści utworów o pracy i życiu, zwłaszcza klasy robotniczej.

Nikt z piszących — a zgłosiło się wiele piór znakomitych nie zwrócił na to uwagi. Odniosłem wrażenie, że nasza krytyka została absolutnie zaskoczona. Skąd się ci „Dyrektorzy” wzięli? Jak to się stało, że ów temat współczesny, w formie artystycznej przecież niedoskonałej, zrobił taką karierę?

Otóż sądzę, że nie było tu żadnego przypadku, ale konsekwencja praktyki literackiej ostatniego dziesięciolecia wspieranej przez umiejętną politykę kulturalną. Tych konsekwen-

10. jak i tzw. zwykłych odbiorców wyniosłem niedobre wrażenie, jak byśmy „Dyrektorami” niemal wszystko załatwili, zaspokobili potrzeby i tęsknoty, mieli całą sprawę z głowy. A przecież nie trzeba udowadniać, że tak nie jest, że nawet trzydzieści czy sto odcinków, lepszych tysiąc razy, nie załatwiłoby w s z y s t k i e g o. Nikt by chyba tak obłądanego pomysłu nie potraktował poważnie. W euforii łatwo się jednak dokonuje ostatecznych rozrachunków. A w sztuce takiej teorii z napisem „załatwione” być nie może. Powiem nawet więcej z tej okazji: serial uświadomił nam (mimo znaczącej retrospektywy) jak wiele obszarów z niedawnej przeszłości czeka jeszcze na swą artystyczną dokumentację, na artystyczny zapis potrzebny nam nie do annałów kultury, ale by lepiej zrozumieć dzień dzisiejszy, by łatwiej i lepiej poradzić sobie z problemami dnia jutrzejszego. W tej

11. sprzeczności widzę dodatkowy walor serialu, mimo że nikogo nie złapałem za rękę i w miejsce faktów serwuję tylko mgliste odczucia.

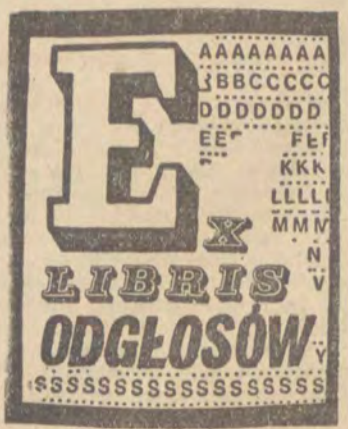
12. „Pretensja” następna. Operatywni dziennikarze z gazet codziennych szybko podchwycili temat. I dobrze. Chcemy wiedzieć, co myślą ludzie z ulicy, jak wygląda konfrontacja „Dyrektorów” z dyrektorami bez cudzoziłostwo, którzy wiadomo kim są nie tylko w gospodarce maszyni, ale i w strukturze społeczno-politycznej. Otóż ci ostatni, wskazując pewne przyrównania w odniesieniu do rzeczywistości, potwierdzili autentyczność problemów i zachowań, jakie są losem ludzi pełniących kierownicze stanowiska. Wykazali jednak całkowitą bezradność lub obojętność wobec osobistych, pozazawodowych perypetii bohaterów serialu. Kilku nawet wręcz zakwestionowało takie rozwiązanie. Podobnie reagowali respondenci nie obarczeni ciężarem tytułów. Mówiąc w uproszczeniu: akceptowano w serialu wszystko co typowe, sprawdzalne, „żywcio”, a więc nie wykraczające poza schemat rzeczywistości takiej, jaka się składa na przeciętną codzienność. (N.b. takimże sprawdzianowi poddawani są często nawet autorzy powieści.) Trzeba więc wyrazić ubolewanie, że porozumienie autor-odbiorca, ma miejsce w tych najmniej nośnych intelektualnie punktach. To jeszcze jeden sygnał, jak wiele jest do zrobienia, że dzieło sztuki musi w świadomości społecznej funkcjonować na innych zasadach. Właśnie na zasadzie uogólnienia, metafory, prawa do deformacji i przerysowań, które tworzą w sumie rzeczywistość artystyczną, wbrew zewnętrznym pozorom, najbliższą prawdzie o naszych czasach.

13. Autorzy serialu widąc wiedzieli o tym i posłużyli się schematem, myślowymi stereotypami, nawet wysłużonym banałem. I w jakimś sensie nobilitowali schemat, rzecz tak podobna dla artystów zabójczą. Tylko, że w ów schemat wpisali treści ważne i oczekiwane, w telewizyjnym wcieleniu wprost nie znane. Swych bohaterów wyposażyli w osobowości pełne, skomplikowane, obnażyli ich w sytuacjach zawodowych i życiowych, w których żaden schemat jest nieprzydatny. Udała im się w tym rozuznieniu rzecz cenna: mimo mocnych indywidualności naszkicować portret zbiorowy, tych ludzi pozornie z drugiego planu, z setek epizodów, którzy są prawdziwymi bohaterami opowieści. Ktoś nawet zadał pytanie: dlaczego nie serial „Robotnicy”? Moim zdaniem tytuł jest adekwatny do fabuły, lecz nie do treści. Kolejni dyrektorzy od Gajdy-seniora do Gajdy-synia są tylko trafnym i przekonywającym uosobieniem określonego w danym czasie porządku rzeczy i zbiorowości, która go w taki czy inny sposób akceptuje.

14. To stwierdzenie trzeba rozwinąć. Chociażby dlatego, że nie brakło w prasowych repetycjach złudzeń, że przy okazji można by podyskutować — a kto wie czy nie określić — idealny model dyrektora w socjalistycznym przedsiębiorstwie. Bardzo to kuszące znaleźć taki przepis, receptę. Swego czasu jako dwudziestokilkuletni inżynier siadając za dyrektorskim biurkiem takiej recepty szukałem. W fachowej literaturze, w rozmowach z doświadczonymi kolegami, działaczami. Na szczęście dość szybko się zrezygnowałem, inaczej nie byłoby to dziesięć lat, a najwyżej dziesięć tygodni czy miesięcy. Jak nie ma recepty na życie, tak samo na kierowanie ludźmi i sobą. (Sobą także, a może przede wszystkim!) Zależy to od 827 czynników, które trzeba mieć nie w pamięci, ale w mózgu, sercu, w każdej tkance ciała, w psychice, wyobraźni, w podświadomości, kulturze, tradycji, w nienawiści i miłości, gniewie i w okrucieństwach szczęśliwych chwil, w realizmie i metafizyce, we wzniosłościach idei i zgrzebnej praktyce, w nadziei i rozpaczce, w odwadze i konformizmie, w granicy i plastelinie, we wszystkim na odpowiednią porę, czas i miejsce, nawet pogodę i apetyt. W... w... itd.

15. Rzeczywistość i ideał to dwie równoległe, jak wiadomo z matematyki, spotykające się w nieskończoności. Piękno ludzkiego działania polega na tym, aby to zbliżenie maksymalnie osiągnąć, nie zaprzeczając żadnej możliwości. Sztuka nam tę potrzebę uzmysławia stale i zawsze. Ideałem z kolei sztuki byłoby, żeby nam pomagała. Ale to już inne zagadnienie...

16. Z prasy codziennej dowiedziałem się, że Zbigniew Chmielewski będzie realizował 6-odcinkowy serial współczesny rozgrywający się w łódzkich realiach p.t. „Daleko od szosy” wg scenariusza łódzkiego pisarza Henryka Czarneckiego. Ta spółka po głównym „Profesorze na drodze” wzbudza zaufanie i skłania do przekonania, że dostarczy odbiorcom kolejnej satysfakcji. Chmielewskiemu otwarto konto z dużym kredytem, jestem pewien że innym twórcom także. Oby tylko chcieli z niego skorzystać.



W OGNIU PYTAŃ

Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się oryginalna książka. Przygotował ją do druku Robert M. W. Kempner — amerykański prawnik, w czasie przygotowań procesu norymberskiego członek amerykańskiej ekipy, której przewodniczył sędzia Robert H. Jackson, a później w czasie procesu — zastępca głównego oskarżonego. Książkę tej Robert M. W. Kempner nadał również oryginalny tytuł: „Trzecia Rzesza w krzyżowym ogniu pytań”.

Trudno powiedzieć, że Robert M. W. Kempner jest autorem tej książki. Prowadził on ciągnące się godzinami przesłuchania zarówno głównych winowajców drugiej światowej wojny, jak i ludzi, którzy z nimi współpracowali. Wszystkie te zeznania zostały zaprotokolowane i przez długie lata leżały w archiwach. Robert M. W. Kempner postanowił opublikować część z nich, te która odnosi się do ważnych faktów historycznych, aby dać świadectwo prawdzie, gdyż jak sama pisze, ukazuje się teraz wiele wspomnień i pamiętników, przy lekturze których człowieka zorientowanego ogranicza pustki śmiech.

„Trzecia Rzesza w krzyżowym ogniu pytań” jest nie tylko książką oryginalną, bo składająca się z dokumentów, pytań i odpowiedzi, jest też dokumentem tragicznego fragmentu naszej historii. Warto ją nie tylko przeczytać, warto do niej stać wracać, gdyż w jej warstwie psychologicznej i historycznej znaleźć można i poznać źródło stałe dającego o sobie znać niebezpieczeństwa — próbującego odrzucić się — faszyzmu.

Robert M. W. Kempner — „Trzecia Rzesza w krzyżowym ogniu pytań” — Z nie opublikowanych protokołów przesłuchań, przełożył Karol Bunsch, Wydawnictwo Literackie, Kraków — 1975, str. 370, cena 50 zł.

KONSTANCJA

Różne są sposoby pisania science fiction. Można tworzyć rzeczywistość traktując w sposób poważny „świadczyć” wieżąc, że tak właśnie będzie za kilka lat, a można też fikcyjną rzeczywistość traktować z przymrużeniem oka, ku uciesze czytelników. Poza tym science fiction nie musi wcale odnosić się tylko do przeszłości. Niektórzy autorzy tego gatunku dochodzą do wniosku, że rzeczywistość na świecie dzieje się tyle rzeczy, o których nawet nie śniło się filozofom i że warto to wszystko opisać i utrwalić dla potomności. A jeszcze inni dochodzą do wniosku, że już przeżyli się stare, prymitywne ich zdaniem bajki i baśnie i czas tworzyć nowe, posługując się współczesnym lub nawet przyszłościowym rekwizytem. Nawet sam Stanisław Lem pisał bajki fantastyczne, których akcja toczyła się w nieskończonych przestrzeniach Kosmosu.

Wadim Szefer, leningradzki poeta, zainteresował się ostatnimi czasami prozą i to prozą z gatunku science fiction. Tak powstała między innymi „Kulista tajemnica”. Rzecz dzieje się współcześnie i można byłoby jej nie zaliczyć do gatunku science fiction, gdyby nie... Konstancja. Wprowadzenie do współczesnej rzeczywistości rekwizytu z zupełnie innego wymiaru postawiło te rzeczywistości i ludzi biorących w niej udział również w innych wymiarach, pokazało ją w krzywym, trochę zwierciadła, nadało jej wymiar ironiczny. Wszystko jednak dobrze się kończy. Konstancja znika, wracając tam skąd przybyła, a bohaterowie żyją długo i szczęśliwie. „Kulista tajemnica” można potraktować jak współczesną baśń, ale to wcale nie obniża jej wartości. Wprost przeciwnie.

Wadim Szefer — „Kulista tajemnica”, Iskry, Warszawa — 1975, str. 92, cena 10 zł.

STANISŁAW LEM POLECA

Wydawnictwo Literackie — ruchliwe i pomysłowe, a starające się, aby książki ukazujące się tego nakładem reprezentowały określony poziom — zaczęło publikować serię pochodzącą z polecenia Stanisława Lema. Wiadomo, że jak Stanisław Lem coś poleca, to będzie to twórczość dobrej marki ciekawa i pożyteczna. Ale też wiadomo jednocześnie, że będzie to fantastyka.

Najpierw Stanisław Lem polecił nam wybór fantastycznych opowiadań Stefana Grabuśkiego, bo wiadomo, że jak już ktoś chce się interesować literaturą fantastyczną, to warto także poznać własne tradycje w tej dziedzinie.

Drużyna poleca, która Stanisław Lem nam polecił jest „UBIK” P. K. Dicka. Pisarza science fiction swego czasu trochę zapomnianego, który dziś stał się przedmiotem zainteresowania specjalistów od tej dziedziny literatury. „UbiK” stał się przedmiotem sporów i Stanisław Lem musiał bronić swego wyboru na łamach „Kultury”, która mu użyczyła miejsca w sporze z „Życiem Literackim”, na łamach którego Orlender Terlecki nazwał „UbiK” bigosem z drutu kolezanego.

Po tak interesującym sporze „UbiK” na pewno zyska zainteresowanie czytelników mimo że jest to książka trochę inna od książek tego gatunku, jako, że i P. K. Dick jest trochę innym pisarzem kierując się w uprawianiu SF innymi niż pozostali zasadami. Sięgając bowiem do klasycznej SF rekwizyty co najmniej jedno ma zainteresowanie powieści, stara się prezentować też pewne prawdy ogólniejsze, dla wielu jednak wśród tandemnych rekwizytów nie zawsze dostrzegalne.

Philip K. Dick — „UbiK”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975, str. 264, cena: zł 33.—

ZAPIS

W serii „Książki i Wiedzy” noszącej tytuł „Ideologia a Współczesność” ukazał się zapis sesji naukowej zorganizowanej przez Uniwersytet Łódzki i Łódzki Ośrodek Propagandy Partyjnej. Nie jest to zapis w dosłownym tego słowa znaczeniu, nie jest stenogramem. Są to specjalnie dla potrzeb książki opracowane materiały, stanowiące wynik badań pracowników UL nad problemami klasy robotniczej.

Książka ukazała się w 1975 roku. Badania — jak to zwraca uwagę we wstępie do książki Janusz Górski — były prowadzone przed 1970 rokiem. A więc część danych, jakie otrzymała do swej dyspozycji czytelniczka, jest przestarzała. Niemniej książka jest interesującym dokumentem, nie tylko z napisem pewnego wydarzenia z historii badań nad współczesną klasą robotniczą, ale jest dokumentem stanu świadomości społecznej o tej dziedzinie naszego życia. Wzobogać to świadomość.

L.W.

„Współczesna polska klasa robotnicza” — zbiór artykułów pod redakcją Zbigniewa Boksańskiego, Jolanty Kulpińskiej i Jana Woskowskiego, Książki i Wiedza, Warszawa 1975, str. 408, cena: zł 30.—

WARTO PRZECZYTAĆ

- Joe Alex — „Pień jest we mnie”, WL, cena zł 30.
- Alfonso Beliauskas — „Jeszcze się spotkamy. Wilno...”, PIW, cena zł 25.
- Stefano Bonoso — „Plugawy ptak nocy”, PIW, cena zł 50.
- Manuel Puig — „Przeklecie tangó”, WL, cena zł 28.
- Siergiej Sartakow — „Kamień filozoficzny”, t. VII, PIW, cena zł 55.
- Tadeusz Zelenicki-Bov — „Ludzie żywi”, PIW, cena zł 55.
- Zbigniew Kuchowicz — „Obyczaje staropolskie XVII—XVIII wieku”, WL, cena zł 100.
- Konrad Lorenz — „Opowiadania o zwierzętach”, WL, cena zł 25.
- Thomas Reid — „Rozważania o władzach poznawczych człowieka”, PWN, cena zł 90.
- Adam Majewski — „Wojenne opowiadania”, Wyd. Literackie, cena zł 95.
- Marian Podkowiński — „Dyllansem do Warszawy”, KIW, cena zł 25.
- Mieczysław Jastrun — „Błysk obrazu”, Wyd. Literackie, cena zł 15.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

CZTERDZIESTOLETEK CZYLI „SZPILKI”

„Czterdzieści lat minęło.” Dwudziestoparoletni młodzieńcy, którzy 40 lat temu w „Szwajcarskiej” u zbiegu Szpitalnej i Brackiej w Warszawie postanowili założyć „Szpilki”, dziś są nestorami posiwiałymi w satyrycznych bojach. A Zbigniew Mitzner — faktyczny wydawca i redaktor już — niestety — nie żyje.

Działają jednak jego współpartnerzy: Eryk Lipiński i Andrzej Nowicki. Eryk Lipiński wspomina: „W pierwszym numerze było prawie tyleż białych miejsc co zadrutowanych. Potem zostawiania białych plam zabroniono w myśli hasła: „Taka plama to reklama” (...). Wrzuciła nasza odpowiedzialność za słowo i rysunek, w walce pogłębiała się nasza świadomość polityczna, rozszerzał się krąg naszych współpracowników i wkrótce wzbogacił się o najlepsze postępowe polskie pióra i ołówki”.

Podobne wspomnienia notuje Andrzej Nowicki: „Z miejsca uderzyła nas cenzura i w pierwszych numerach „Szpilek” było niewiele więcej druku niż białych plam konfliktów.”

Był to schyłek roku 1935. Już od pierwszych numerów wokół pisma skupiła się duża grupa twórców młodego pokolenia, związanych w większości z ówczesną lewicą. Wśród nich Edward Szymański, Leon Pasternak, Stanisław Jerzy Lec, Jerzy Zaruba, Świątoplek Karpiński, Karol Baranicki, Tadeusz Hollender... Pisywali do „Szpilek” (wówczas i później) — K. I. Gałczyński, Julian Tuwim, Janusz Minkiewicz...

Te pierwsze lata były prawdziwie złotym okresem przedwojennych „Szpilek”. A przecież współpracą z piśmie o wyraznym obliczu politycznym stawała się współpraca z zdecydowanie po antyrządowej stronie barykady.

Nietawne to były czasy, chociaż — pisze Andrzej Nowicki

— nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek żył w czasach latwych. W kwietniu roku 1938 Warszawę zbulwersowała wieść o postawieniu w stan oskarżenia Lipińskiego i Nowickiego za... szerzenie na łamach „Szpilek” pornografii. Szło m. in. o niewinną parodię „ogłoszeń drobnych” z takim insertem: „Zhańbić chętnie blondynkę. Może być z pieskiem. Hoża, parter”.

Gazety wołały wielkimi tytułami — „Za pornograficzne dowcipy „Szpilki” przed sądem”, albo: „Krzewiciele pornografii na łamach „Szpilek” — czy wrzeszczcie: „Szerzyciele pornografii skazani...”

Bo tak się stało. Lipiński i Nowicki dostali wówczas po 3 miesiące więzienia z zawieszaniem na dwa lata. Za taki niewinny żart. Za dzisiejsze rysunki Lutczyca czy fotki Bajki Marońskiej autorzy dostaliby pewno dożywocie od ówczesnych sądów. No cóż — zmienia się świat i obyczaje, czasem na lepsze, czasem na gorsze.

Pierwsi „szpilkowcy” z rozrzewnieniem wspominają nawet słynnego Solowejczyka — administratora pisma, który, żeby nie płacić honorariów każdorazowo chował się do redakcyjnej szafy, gdy przychodził

współpracownik — wierzyciel. Mimo tego węża w kieszeni Nowicki nazywa Solowejczyka „wspaniałym człowiekiem”, a Lipiński także rysuje tę postać w pełnym ciepła i humoru wspomnieniu.

A potem przyszła wojna i długa pauza w wydawaniu pisma. Ale tuż po wyzwoleniu „Szpilek” wznowiły działalność i dziś są jedynym piśmie, które utrzymało ciągłość przez te lata, pełne burz i zakrętów. Są to już oczywiście inne „Szpilki”, bo taka jest kolej rzeczy na tym świecie, inni są ludzie, inne cele ataku, inne zadania i sytuacje.

„Ale wciąż jest ta sama winieta sprzed czterdziestu lat i wciąż ta sama dewiza Krasickiego, że: „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi”. Czy rzeczywistość? Obecny redaktor naczelny „Szpilek”, Witold Filler odpowiada na to pytanie, że jest optymistą i wierzy Krasickiemu.

Zarówno biskupowi warmińskiemu jak i redaktorom wierzają też czytelnicy, bo „Szpilki” znikają z kiosków jak za dawnych lat.

WIDOK

LEWYM OKIEM

TRUDNY TEMAT

Przed kilkoma miesiącami cała prasa podawała informacje o amerykańskiej dziewczynie, znajdującej się w stanie śmiertelnej klinicznej, uznanym przez lekarzy za absolutnie nieodwracalny. Niektóre procesy fizjologiczne, jak pracę serca i płuc, podtrzymywano mechanicznie, ale mózg przestał działać i świadomość żadnego szczepek człowieka mieć już nie mógł.

Rodzice dziewczyny — zresztą przybrani — prosił o zaniechanie mechanicznych manipulacji z jej ciałem i o uznanie jej za zmarłą. Wielka publiczna dyskusja stała jednak w wyniku stwierdzenia, że tego rodzaju decyzji lekarzom podjąć nie wolno.

Niemiecki „Spiegel” z tej okazji ogłosił artykuł, z którego wynikało, że w podobnym stanie niby-życia, ale pozbawionego świadomości, znajduje się jeszcze parę osób na świecie, i to niekiedy już od wielu lat. W takiej informacji jest coś, co nas — normalnie żyjących — poraża, ale też coś niezmierznie imponującego: jaką cenę przypisuje się ludzkiemu życiu, skoro chucha się nawet na tak marną jego cząstkę, i to kosztem ogromnych trudów i wyrzeczeń wielu osób!

Każdy z nas jest, jak niewyobrażalnie precyzyjny komputer o z góry zaprogramowanym zgonie. Żyjemy w epoce kultu młodości, bezdrozi, zdobywczej i czynnej — śmierć ludzka uważamy za coś wstydliwego, prawie za „wstydliwą chorobę”, o której mówienie byłoby towarzyskim ekshibicjonizmem. Przez wiele wieków nastroje publiczne były krótko inne: ludzie żyli nieustannie zafaszynowani śmiercią, każdy swój krok przynierzał do wieczności, która była ich własnością — Hełym i głupim epizodem. Człowiek umierał wtedy, jak na scenie, wygłaszał mowy, żegnał się ze wszystkimi po kolei, sam sobie — jak swój dziadek, którego doskonale pamiętał — śpiewał hymn, trzymając zapaloną gronnicę... Tania fascynacja leżała ciężkim cieniem na wyobraźni zdrowego, normalnego człowieka. Ale i udawanie — jak my to czynimy — że śmierci nie ma i że ona nas nie obchodzi, prowadzi zbyt często do tragicznych „ostatnich tygodni”, do odrzucenia człowieka, jak zużytej szmatki. Jaki by tu znaleźć złoty środek, jak połączyć względy należące do wielkich zasadom humanitarnym z filozoficznym, godnym podda-

nieniem się biologicznym koniecznościom?

Anglicy wymyślili szpital, do którego idzie się — z całą świadomością — umierać. Cały personel nastawia tam pacjenta tylko na tę jedną jeszcze przysługę: własny zgon. Nie wiem, jak to się robi bez sięgania po pociechę metafizyczną. „Nie martw się, bracie, ja też wyśpię”. „Co masz się męczyć z podatkami, z teściową, z bólem zębów i zawiedzioną ambicją — nie lepiej sobie usnąć i znieść? Chyba coś w tym guście. Ten szpital został sfinansowany przez zachodniemiecką telewizję. Zawierano umowy z pałacami i z ich najbliższymi — o zgodę na nakreślenie „procesu odchodzenia”. Nakrecono — chociaż — co ciekawe — większość kontraktów zrywała umowy i w ostatnich godzinach wyrzucała operatorów za drzwi. Sprawodawca teleekspres nie omisszał też napisać, jak niecierpliwili się panowie obfiszeni kamerami i lampami, gdy zaplanowany dzień zdjęciowy się nie udał, bo pacjent nie umarł na czas i trzeba było zmarnować więcej taśmy. Widać, to już jest dla mnie szczyt niesmaku, już nie wstrętniejszego wymyśleć się nie da...”

Chińska księżna Li-ki z pierwszego wieku naszej ery stwierdziła nie bez poczucia humoru: „O śmierci króla mówi się, że się góra zawałła; o śmierci księcia — że pałac runął; o śmierci dostojnika — że dobiegł kresu swej kariery; o śmierci urzędnika — że

przesiał pensję pobierać; a o śmierci zwykłego człowieka powiada się, że umarł”.

Gutkowski w swej kapitalnej, fantastycznej „Podróży do Kalopelii” (połowa XIX wieku) pisze: „Dusza ludzka — to powietrze. Kogoś topiono w spiryту i wyszły z niego bulki powietrza i umarł. To właśnie wyszła dusza. Ale powietrze jest nieśmiertelne. W tym właśnie sensie dusza ludzka pewno jest nieśmiertelna”.

Przez wiele wieków nie wolno było ogłaszać komunikatów o złym stanie zdrowia panującego, do dziś czyni się to niechętnie lub wcale. Ale zdarzają się i takie wypadki, jak w duńskim tygodniku „Soendags BT” przed paru laty: ogłoszono tam śmierć szwedzkiego króla o cały tydzień przedtem, niż ona naprawdę nastąpiła. Redaktor tłumaczył się potem, że cykl druku tygodnika jest długi i że materiał trzeba było dać drukarzom z wyprzedzeniem...

Nie ma u nas króla, księcia i wielmożów. Po prostu — jak owi chińscy „urzędnicy” — pobieramy pensję. Obymy ją pobierali jak najdłużej. Obym nikt zdjąć nie próbował w najtrudniejszych, a najmniej fotogenicznych sytuacjach i zresztą — co tu gadać: obymy żyli sto lat!

Ale czasami pomyśleć nie zawadzi...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

HU, HU, HA

Dziecinna piosenka głosi: „Hu, hu, ha — nasza zima zła”. Nie taka ona jednak zła, skoro rozpieściła nas przez kilka kolejnych ubiegłych lat i niektórym już zaczęło się wydawać, że zima to tylko pojęcie z kalendarza. Kiedyś sprawa była prosta: najpierw przychodził mroźny i śnieżny, ale pierwszy śnieg nigdy nie leżał, później padał znow śnieg i potrafił tak padać przez długie tygodnie, z przerwami oczywiście, mroź trzymał i to była zima. Dziś wszystko dokładnie się poklepało. Wieczorem pada deszcz, w nocy bierze mroź, rano pada śnieg, a w południe dmie wiatr i zaczyna się zadyмка. Nad Polskę — i nie tylko — ciągle nadbywają chłodne lub ciepłe fronty, wiatry są zmienne a ciśnienie nieustannie skacze, ujemnie wpływając na nasze samopoczucie.

Kiedyś sprawa była prosta: był taki okres, taka pora roku, która nie tylko nazywała się zimą, ale kiedy rzeczywistość była zimą. Dziś nagła zmiana pogody staje się sensacją. W gazetach pojawiają się tytuły rodem z frontowych komunikatów: „ATAK ZIMY NIE USTAJE”, „ZIMA W DALSZYM ATAKU”, „A JEDNAK NÁS ZASKOCZYŁA...”. Z tym zaskakiwaniem sprawa stała się już tradycją. Miałom okazję kiedyś o tym pisać. Wypada ponownie wrócić do tematu,

bo jest w tym szaleństwie jakaś metoda.

Najpierw jednak chwila wspomnień. Kilku moich znajomych z wielkim podnieceniem opowiadało mi, że nasze najmłodsze pokolenie z prawdziwym zdziwieniem oglądało śnieg, gdyż niekiedy jego przedstawiciele widzieli go po raz pierwszy w życiu. Ludzie dorosli pamiętają śnieg i pamiętają chyba również, że w niektórych latach grubość pokrywy śnieżnej dochodziła do dwu metrów. Sam pamiętałem takie czasy, kiedy trzeba było w śniegu przekonywać tunele, aby móc się przedostać gdziekolwiek. To były opady śnieżne.

W pierwszych dniach stycznia 1976 roku też mieliśmy śnieg i okazało się, że z nową zimą nas zaskoczyła. Nie twierdziłem na południu kraju nie było trudnej sytuacji. W nocy z niedzieli, 4 stycznia 1976 roku, na poniedziałek przy oczyszczaniu dróg pracowało 5500 osób, które posługiwały się między innymi 1270 pluzgami do odśnieżania i 3500 samochodami do rozwiezienia piasku i środków chemicznych. W tamtej części kraju nastąpiły zakłócenia w komunikacji kolejowej. Trudne warunki były również w portach, gdzie panował sztorm. Spokojnie i stosunkowo było w centrum kraju. Ale i tu zima z nową nas zaskoczyła.

Zima jest czymś naturalnym i wiadomo, że jeśli nie nastąpi ja-

kaś meteorologiczna anomalia, to będzie śnieg, mroź i mała prawda być zadymkami. I obowiążąkiem instytucji do tego powołanych jest przygotować się na najtrudniejsze.

Obowiązkiem doradców, których zwykliśmy nazywać gospodarzami jest przygotowanie dobrej łopaty i zausu piasku. Obowiązkiem doradców jest rozstawienie plotków ochronnych, które uniemożliwiają by tworzenie się na drogach zasp śnieżnych. Obowiązkiem MPO jest przygotowanie sprzętu i ludzi do takiej pracy, aby dała ona skuteczne wyniki przy oczyszczaniu ulic miasta. Poza tym wiadomo, że władze Łodzi wydały zakaz posypywania solą chodników, gdyż wpływa to szkodliwie na stan łódzkiej roślinności. To wszystko do 4 stycznia 1976 roku nie było dla nikogo tajemnicą. A mimo to...

„Express Ilustrowany” z 7 stycznia 1976 roku: „Tylko w ciągu jednego dnia wczorajszego, po blyskawicznej kontroli, skierowano 32 wnioski do kolegium oraz wypisano kilkadziesiąt mandatów na sumę 8,5 tys. zł”.

Za co? A za posypywanie śniegu solą, magazynowanie takiego śniegu pod drzewami i za nieoczyszczanie chodników z śniegu.

„Dziennik Popularny” z 7 stycznia 1976 roku: „Okazało się, że ilość sprzętu, jakim dysponują poszczególne rejonu dróg publicznych jest niewystarczająca, zaś poustawiane, niestety dość rzadko, plotki nie zabezpieczają dróg...”

„Express Wieczorny” z 6 stycznia 1976 roku: „Zima — przy

niekufecznosci dzialań stolecznego MPO — daje się dotkliwie we znaki warszawskom.”

„Głos Robotniczy” z 7 stycznia 1976 roku: „Drogowcy dwóch wolewódtw: miejskiego łódzkiego i pólkowskiego zapomnieli o bardzo ważnym szlaku komunikacyjnym, jaki stanowi droga Fabianiec — Belchafów”.

Kiedy piszę ten felieton na termometrze jest dwa stopnie powyżej zera. Nad Polskę zbliża się kolejny niż. Nie mogę jednak zapewnić, że już jutro nie nadejdzie wyż i nie powieje znow mroźny wiatr. W gazetach pojawiają się tytuły: „KOLEJNY ATAK ZIMY”, a drogowcy, kolejarze, tramwajarze i inni transportowcy powiedzą: — Znow, psiajucha, nas zaskoczyła!

Na podstawie faktów z kilku ostatnich dni można powiedzieć, że ci, którzy mają obowiązek przeciwdziałać ujemnym skutkom zimy, spodziewali się „lagodnego wymiaru kary” ze strony przyrody. „Nauzeni” doświadczeniem trzech ostatnich lat przypuszczali, że i tym razem zima będzie tylko w kalendarzu. Stało się inaczej. Co nas jeszcze czeka w tym roku? Trudno to przewidzieć. Chciałbym tylko przypomnieć, że obecnie znajduje się w obiegu hasło: „PO MNIE POPRAWIĆ NIE TRZEBA”. Byłoby dobrze, aby tym hasłem przejęli się również i ci, do obowiązków których należy ochrona społeczeństwa przed przeciwnościami natury.

MARCIN RODAK

MAGAZYN

ODGŁOSY

Starsza pani z twarzą żądną szacunku mówiła smutno i z przejęciem, promieniując nimbem srebrnych włosów.

— Nie! Dzisiejsza młodzież nie zasługuje na miłośniczkę rzymskiej. Jakże los bowiem czeka sławne imperium rzymskie, gdy przyszłość narodu chce się tylko bawić i pozabawiona jest wszelkich skrępułów moralnych? Po to nasi przodkowie zbudowali miasto nad miastami? Po to w straszliwych bojach zwyciężyliśmy Kartaginę? Po to zaszczepiliśmy cywilizację rzymską na ponurym germańskim ugorze?

Na jasnym czole pani pojawiły się zmarszczki, a w kąciach ust zaśniły łzy. Drżącym od płaczu głosem ciągnęła dalej:

Jak oni się ubierają? Czy my odważylibyśmy się kiedyś nosić takie kuse tuniki jak te dzisiejsze dziewczęta? Matki by nas pozabijały! Ale nam nigdy to nie przyszło do głowy. My chcieliśmy imponować światu duchem, a nie ciałem. Chcieliśmy świecić dobrym przykładem, a nie kuszącym naskórkiem. My młodzi byliśmy zawsze pokornymi czcicielami kultury. Dlatego chodziliśmy na zapasy gladiatorów, ażeby charakter kształtować w duchu sportowym. A jeśli trzymaliśmy się za kciuki, to jedynie po to, by dać wyraz, że śmiertelnie poważnie pojmujemy naszą rolę w pielegnowaniu rzymskiej kultury.

— A to potworne pijaństwo! Dzisiejszy młodzi piją jak szwacy. My nawet nie wiedzieliśmy, kto to był Bachus, a jeśli już wiedzieliśmy, to nikt z nas nie miał pojęcia, że jego imię ma związek z pićm winą i organizowaniem świąt z bachanaliami. Oni tak piją wino jak źródlaną wodę czy mleko. A myśmy pili tylko wodę i mleko. A spróbuj tylko zwrócić im uwagę, to zaraz niegrzecznie się odetną i nazwą człowieka zacofanym. Naprawdę mówię wam, że kiedyś człowiek na to wszystko patrzy, po prostu ogarnia rozpacz.

— A co się tyczy moralności, szkoda słów na ten temat. Nie chcę obrażać bogów — słowami, które by nawet w przybliżeniu wyraziły, to co ci młodzi wyprawiają. Za naszych czasów dziewczęta nawet nie śmiały spojrzeć na mężczyznę. A o tym, że bociłany nie przynosił dzieci dowiedzieliśmy się dopiero w dwudziestym roku życia. A ci dzisiejsi młodzi? Ach, na Jupitera, lepiej nie mówmy o tym! Dla nich muzyka, nauka i pokorna służba bogom — nic nie znaczą, tylko rozpusta im w gło-

LASZŁÓ FELEKI MATRONA

wie. Wprost trudno sobie wyobrazić i zrozumieć, że można być takim ślepym i głuchym na prawdziwe uroki życia.

Oczy jej nabiegły łzami. Nie mogła dalej mówić. Dopiero potem podniesionym i drżącym głosem rzekła:

— Przykro mi, że o tym mówię, ale jak to się nie zmienia, prędzej czy później Rzym upadnie i stoczy się do poziomu raba. Kiedy już naród nie ma morale, najpotężniejsze imperium pograży się w hańbę.

Gdy się oddaliła i jej słachetna sylwetka całkiem już zniknęła, jeden ze słuchaczy oświadczył z godnością:

— Ta ciocia Mesalina to jest naprawdę czcigodna pani, tylko troszeczkę zacofana.

Tłumaczył:
TADEUSZ FANGRAT

Mógłbym ją nazwać złem koniecznym. Nie jestem jednak na tyle złośliwy. Nazywam ją zatem po prostu: Ziuta.

Ziuta jest moją przyjaciółką. Przyjaciółka to pojęcie dość śiękłe i rozciągliwe: waha się między kochanką a teściową.

Kochanka to stworzenie na ogół bezgroźne. Bo proszę: wędruje cichaczem do pokoju, przekręca klucz w zamku (dwa razy), wsunie się milcząc pod koldrę — i odepdzie bez słów. A przyjaciółka? Bywa zamknięta w sobie i wylewna, mało mówna i rozgadana, potulna i napastliwa. I płacze — och! Wygrywa całą skalę, począwszy od tłumionego szlochu, skończywszy na histerycznych spazmach. Co najgorsze, otacza cię jak najtroskliwszą opieką. Gdziekolwiek się znajdziesz, dokądkolwiek skierujesz swe kroki, zawsze i wszędzie jesteś pod jej ścisłym nadzorem policyjnym... Pocałowałem ją w doroczek. Lalo jak z cebra. Siedzieliśmy ziębnięci, przytuleni do siebie. Uważałem to za dobry uczynek.

Odtań bez przerwy terkotał telefon, mieszkanie moje zamieniło się w pewnego rodzaju kwatery główną. Kurierzy krążyli tam i z powrotem. Na próżno



Fot. J. Mendychowski

modulowałem głos i zastaniałem się własną nieobecnością.

Po dwóch tygodniach odwiedziła mnie. Weszła do gabinetu. Nad drzwiami widniał dantejski napis: „Wchodzące, pozostawcie nadzieję w przedpo-

Uśmiechała się blade:
— Kocham cię, jakim jesteś. Smutne to, ale prawdziwe...

Spróbowałem z innej beczki. Pewnego czerwcowego wieczora, siedząc na ławce w parku, odepnąłem się słodko:

HORACY SAFRIN

PRZYJACIÓŁKA

koju! Przejrzawszy album z podobiznami moich dotychczasowych miłostek — zemściła. Zwalila się literalnie na kanapę. Mogłem wezwać Pogotowie Ratunkowe i sprawa byłaby rozwiązana i la węzeł gordyjski. Nie uczyniłem tego. Powziąłem natomiast niezłomną decyzję pozbycia się jej za wszelką cenę.

W tym celu spóźniałem się na randki, przesiadywałem do świtu w lokalach nocnych, chodziłem z kobietami podejrzanej kondyty.

— Jestem nieuleczalnie chore, dziecino... Zbyt bujna młodość, kochanie... Kategoria E. Do wszelkiej służby małżeńskiej niezdatny.

Ten sam błąd, wyrozumiały uśmiechek:

— Kocham cię, jakim jesteś. Smutne to, ale prawdziwe...

Co tu robić? Długo suszyłem sobie głowę, aż zaświłała w niej myśl. Siadłem do maszyny i napisałem anonim następującej treści:

„Droga Pani!

BOHDAN PIĄTKOWSKI MŁODZIK

Kiedy spoikłem pana Kleofasa — obchodził jubileuszową, siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin:

— Czytałem, że młodzież dziś głuchnie w zastraszającym tempie przez to słuchanie muzyki dżezowo-bitowej. Zauważyłem też, że sam coraz słabiej słyszę. No, pomyśl tylko, w moim wieku dotrzymać kroku młodoci. Imponujące, co? — i wypluł pierś.

* * *

Nie minął jeszcze rok, a już zgnębiony wyznał:
— Jeszcze zimą lekarz zapisał mi syrop od kaszlu i, uwierzysz, piłem go po dwie, a nawet po trzy łyżeczki. Wnuk — stomatolog śmiał się z mojego, jak to nazywał, lasowania, ale ja wczoraj poznałem tragiczną prawdę. Młodzież narkotyzuje się lekami. I to mnie, jak widzisz, nie ominęło. Przeciwnie, byłem prekursorem. Pierwszy staczałem się w otchłań nałogu. No cóż, taka jest cena młodzieńczej formy!

* * *

Po jakimś czasie starszy pan dopadł mnie w parku:

— Słyszalesz? Seksyfala już mija! Młodzież ma inne, poważniejsze zainteresowania. I co powiesz? Znowu ja jestem w awangardzie — dumnie wziął się pod bok.

* * *

Przed kilku dniami otrzymałem list zawiadamiający, że rzymska wdówka pana Kleofasa dobiegła kresu. W czasie żalobnych obchodów jeden z wnuków opowiedział, że akurat radio nadawało przerażającą audycję o ofiarach smogu w Japonii i właśnie mówiono o zatruciu spalaniem uczniów jednej z tokijskich szkół podstawowych, gdy pan Kleofas otworzył okno, zakrzuszył się i runął jak długi.

Leżał teraz cichutko, tylko w jego rysach malował się cchy triumf.

Widocznie uznał, że odmłodził się w sposób wystarczający.

TADEUSZ GIGIER

FRASZKI

NA ŚWIECIE

Na świecie coraz jest głośniejsze.
Nie słycać, jak trawa rośnie.

NA POETYZUJĄCEGO REPORTERA

Co temat, to poemat.

NOBILITACJA

Nie klasa, a kasa.

NA PISARZA PANTOFLARZA

Co strona, to żona.

O czwartej po południu urzędnik Jeżykow zjawił się u kasjera i otrzymał od niego jednego świeżutkiego, sześćdziesięciu czernowca, jednego czerwono podarowanego z żółtą plamą, sześć wspaniałych różnobarwnych banknotów i błękitnawy papier dużego formatu.

— Obligacyjka — uśmiechnąwszy się uprzejmie, wyjaśnił kasjer.

Jeżykow pogardliwie pokręcił nosem na papier i schował go do kieszeni.

W biurze stał współpracownik Jeżykowskiego — Pietuchow, znany matematyk, filozof i balwan. Pietuchow machał obligacją i mówił do urzędników, oblaśniających go wokół:

— Według teorii prawdopodobieństwa wygrana padnie na numer nieparzysty. Stwierdziłem to na podstawie badań, jakim poddałem tabelę dwóch ostatnich losowań. Dlatego też specjalnie wzięłem od kasjera nieparzysty. Proszę: kończy się na 827.

Wszyscy urzędnicy sprawdzili swoje numery. Dwóch nie wytrzymało i pobiegło do kasjera zamienić parzyste na nieparzyste.

Jeżykow wyciągnął obligację i przekonał się, że nie miał szczęścia. Seria 06 No 0660243.

„Zawsze mam pecha” — pomyślał Jeżykow i poszedł do kasjera.

— Kasjer oznajmił, że więcej już obligacji nie ma.

— Przepraszam, a jak z serią?

— Serie można będzie przewidywać nie wieszając, niż po piątym losowaniu, to znaczy w 1924 roku — odrzekł Pietuchow — w przybliżeniu mogę jedynak powiedzieć, że będzie to — zrobił obłędnie jakiegoś obliczenia na odwrocie legitymacji — albo trzecia, albo piąta, a najpewniej — nasza szóstka.

— Wtedy pojedę do Faryża — powiedziała maszynistka.

— Zaraz ją sprzedam — powiedział moczomarda z kancelarii.

— To nie ma sensu — zauwa-

zył kasjer — jutro losowanie. Lepiej złożyć ją w banku. A nuż wygracie!

Jeżykow siedł ulicą, owładnięty myślą o złotej pożyczce. Ze wszystkich murów spogadaly a-fisze z napisem „Złota pożyczka” przyciągającym wzrok.

— Każdy może wygrać ogromną sumę w zlocie — odruchowo powtarzał Jeżykow — hm, każdy. Prawdę mówiąc, dlaczego nie miałbym wygrać? Jestem tak każdy, jak i wszelaki. Proszę sobie tylko wyobrazić, że sierotka sięga do tego bebnia i wyciąga 06. A potem 0660. Już jest dobrze.

No, a co powiecie, jeśli wyślą mnie następnym przypadkiem 243. To, wiece, będzie taki numer, taki numer... Faktycznie numer nie do opisania...!

30-go wieczorem Jeżykow, kupiwszy „Wieczorną Moskwe”, przekonał się, że sierotka ciągnęła jakieś bzdury, całkiem nie podobne ani do 060, ani do 243.

2 stycznia sierotka znów wstyd przyniosła.

3 również. Najbliższym numerem było 0660280.

4-go Jeżykow dowiedział się z „Izwiestiji”, że odbywa się losowanie głównych nagród, chciał pojechać do Nowego Teatru, ale zamiast tego zasnął u siebie na tapczanie.

Przebudziło go stukanie do drzwi. Na zaproszenie: „Proszę wejść”, wszedł nieznajomy mężczyzna z ogromną plachtą w dłoni.

Spojrząwszy na rozezochnanego Jeżykowskiego, człowiek ten klasnął w dłonie i wykrzyknął:

— Jak wam się to podobał he? Śpi sobie niewinnie na tapczanie jak dziecko — wtedy, kiedy powinien tańczyć najprawdziwszego fokstrotta! Pozwolił pan, że się przedstawiam: komisant Ilja Siemionowicz.

— Czym mogę panu służyć — wydukał zdumiony Jeżykow.

— Nie, z tego obywatela Jeżykowskiego najprawdziwszego dziwak. Pysia, czym może mi służyć he? A nie przyszło mu nawet do gło-

wy, czym ja mogę mu służyć! No, wobec tego sam powiem — oto czym.

Mówiąc te słowa, Ilja Siemionowicz rozwinął przed Jeżykowem plachtę, która okazała się być gazetą „Izwiestija”. Na plachcie ujrzał Jeżykow ogromne litery i cyfry: „Wygrana 50 000 rub. w zlocie — ser. 06.0660243”.

— Ze co? — spytał on, czując że wszystko w głowie poprzestawiało mu się do góry nogami. — Ze co? Ale to przecież — z gardła Jeżykowskiego wydostawało się

MICHAŁ BUŁHAKOW

SERIA 06 NR 0660243

zamiast głosu jakiegoś skrzypienia. — ale to przecież mój numer...!

— A czy ja mówię, że on jest mój? — z radością odparł Ilja Siemionowicz. — Pozwolił pan, że pana ucałuję, mój drogi obywatelu Jeżykow?

Z tymi słowami Ilja Siemionowicz objął Jeżykowskiego i ucałował kolejno w oba policzki.

— A więc sierotka... — powiedział Jeżykow, nie mogąc wciąż odnalazć siebie.

— Żadnych sierotek — energicznie odrzekł Ilja — pozwolił pan wiece szanowny obywatelu Jeżykow, że dowiem się, czego pan sobie życzy?

Ale Jeżykow osunął się w niemocę na tapczanie i nie żyzył sobie niczego. Milczał i chciał tylko jednego — żeby w głowie przestał mu wirować bebn.

Możliwość życzenia sobie powróciła do niego dopiero po tym, jak Ilja objął go wodą.

Wówczas Jeżykow otworzył usta i rzekł chrapliwie:

— Zyczyłbym sobie ożenić się z madame Muchina, ale ona się nie zgadza.

— Nie zgadza się? — krzyknął

siedząc na tapczanie, całował madame Muchinę i referował Ilji Siemionowiczowi swoje życzenia. Okazało się, że życzy sobie złoty zegarek, pojechać na Krym, fiolelowe kałesony, czarny kawior, isé na „Aide”, popiersie Lwa Tolstojego, dywan, myśliwska broń, trzy pokoje z kuchnią, samochód...

I Ilja Siemionowicz w ezarodziejski sposób zdobywał wszystkie. Jeżykow w ciągu jednego mgnienia oka jechał na Krym, nosił złoty zegarek, siedział w łożu Teatru Wielkiego, jeździł po placu Namietności pachnącą taksówką i kupował dla madame Muchiny sobolowe futro na Suchariewce.

Zycie Jeżykowskiego przemieniło się w oszalałą grubą i pamiętał on tylko dwie rzeczy — numer swego topniejącego konta i, to, że ani przez minutę nie był trzeźwy.

Tak minął miesiąc, aż w końcu wybuchł skandal.

Zjawił się jakiś facet z odznaką floty powietrznej na piersi i rzekł uprzejmie:

— A ty, Jeżykow, szczerze mówiąc, jesteś świnią. 50 tysięcy spadło ci jak z nieba, to chociażby jedną kopiejczkę ofiarował na powietrzną flotę.

Wyrzuty sumienia ogarnęły Jeżykowskiego.

— Ofiaruję wobec tego 20 tysięcy. — Cały aeroplan — wykrzyknął Jeżykow — pod jednym tylko warunkiem: żeby nazywał się „No 0660243 — obywatela fokker-Jeżykowskiego”.

— Proszę bardzo — uśmiechnął się powietrzno-floty.

Tu jednak zerwała się madame Muchina i wszystko zaprzepaściła.

— Co? — wykrzyknęła — Czyś ty zgłupiał, idioto? Dwadzieścia tysięcy. Po moim trupie.

— Moje pieniądze — zaryczał Jeżykow, purpurowiejąc — Won!..

I od własnego ryku przebudził się na tapczanie i ujrzał, że niczego nie ma: ani Ilji Siemionowicza, ani popiersia Lwa Tolstojego, ani madame Muchinę.

Tłumaczył:
JACEK INDEK

W grudniu minęła setna rocznica pierwszego wystawienia „Haliki” w naszym mieście. Wprawdzie łódzka premiera najpopularniejszej opery Stanisława Moniuszki odbyła się dość późno, gdyż niespełna w osiemnaście lat po krajowej premierze w War-

tym razem w wykonaniu zespołu Józefa Tekla.

W Łodzi premiera „Haliki” odbyła się w grudniu 1875 roku, a więc w trzy lata po śmierci Moniuszki. Operę wystawiło towarzystwo dramatyczne pod dyktando Juliana Grabińskiego,

„HALKA” 100 LAT TEMU

szawie (1 stycznia 1858 r.), ale należy pamiętać, że okres jej największych sukcesów nastąpił dopiero po pewnym czasie, już po śmierci kompozytora. Wówczas to rozpowszechniła się opinia o walorach artystycznych „Haliki” i jej zaletach... kasowych.

Ten drugi wzgląd spowodował zapewne zainteresowanie się „Haliką” dyrektorów wędrownych trup teatralnych, występujących na scenach prowincjonalnych, a zwłaszcza A. Trapszy, Grabińskiego, Tekla i Puchniewskiego. Można sądzić, że wykonanie tej nielatwej przecież opery, przez na pół amatorskie zespoły, w specyficznych warunkach teatru objazdowego, nie stało na wysokim poziomie, ale należy przyznać, że właśnie dzięki nim „Halika” zawędrowała do wielu miast i miasteczek ówczesnego Królestwa Polskiego.

Niepodobna oznaczyć ściśle daty, w której po raz pierwszy znalazła się „Halika” w repertuarze teatrów działających na Ziemi Łódzkiej. Zasługą pierwszego wystawienia tej opery na naszym terenie przypisywana jest Anastazemu Trapszy, który w latach od 1870 do 1873 r. dawał ją w Plocku, Kaliszu i Piotrkowie. Gród Trybunalski ponownie oglądał tę operę w 1876 roku.

Miasto nasze wówczas jeszcze nie posiadało gmachu teatralnego, dlatego też przedstawienie premierowe dano w teatrzyku Fryderyka Sellina, zwanym „Arkadia”, mieszczącym się w ogrodzie przy ul. Konstantynowskiej nr 16 (dziś Obrońców Stalingradu).

Kierownictwo muzyczne opery sprawował August Padyga. Partię „Haliki” śpiewała Stefania Wierzbicka (po mężu Puchniewska), w roli Jontka wystąpił Kazimierz Filleborn, zaś Janusza grał Julian Grabiński. Wystawienie „Haliki” przez zespół Grabińskiego musiało być udane, skoro warszawski „Opiekun Domowy” wyrażał się o przedstawieniu bardzo pochlebnie: „Nie spodziewaliśmy się doprawdy, aby uboga w artystyczne zasoby trupa prowincjonalna mogła tak stosunkowo dobrze wystawić nieśmiertelny płód zmarłego mistrza... Chóry wywiązały się ze swego zadania nadspodziewanie, za co Szan. Dyrektorowi części muzycznej, p. Padydze, należy się słuszne uznanie”.

Publiczność łódzka po raz wtóry oglądała „Halikę” w 1878 roku. Tym razem wystawił j. Anastazy Trapszo w nowo wybudowanym teatrze „Victoria” (dziś kino „Polonia”). Halikę wówczas grała Julia Lechnitzówna, Jont-

kciem zaś był Zdzisław Sochaczewski. W latach 1883-1884 wystawiał „Halikę” w naszym mieście trupa Józefa Puchniewskiego. W 1885 roku dawał ją w Łodzi zespół Józefa Tekla, a w 1893 roku — Towarzystwo Operetki Łódzkiej pod kierownictwem Czesława Janowskiego. Ostatnim bodajże zespołem, który wystawił „Halikę” na scenie łódzkiej w ubiegłym stuleciu (1897 r.), była trupa Michała Wołowskiego. Często wznowienia „Haliki”, zarówno w Łodzi jak i na scenach całego kraju, świadczyły, że opera cieszyła się niesłabnącym zainteresowaniem publiczności teatralnej. Zespoły objazdowe wystawiały ją chętnie, gdyż niezależnie od wysokich wartości artystycznych miała i tę zaletę, że zawsze gwarantowała sukces kasowy. Potwierdza to jedna z bardziej popularnych ówczesnych odtwórczyni postaci Haliki — Stefania Puchniewska. „Śpiewałam partię „Haliki” przeszło 300 razy — w towarzystwie dyrektora Juliana Grabińskiego i w towarzystwie pod dyktando mego męża, Józefa Puchniewskiego. U nas i u Grabińskiego „Halika” nie schodziła z repertuaru. Skoro tylko potrzeba było pieniędzy, dawało się „Halikę” — i kasa pełna...”

WACŁAW PAWLAK



Foto Archiwum

ZDZISŁAW MARZEC

KORZYŚCI WSPÓLNEGO POWROTU

Na przystanku najlepiej jest stać mając obcasz na krzewniku, a czubki butów wystające na jezdnię. Wtedy odhicie jest najlepsze.

Jak zwykle była nas spora gromada. Wreszcie autobus nadjechał. Od razu odpadło paru najmniej doświadczonych, w tym chyba jakiś nieletni. Złamał mu nogi jeszcze na chodniku. Pierwszy (o dziwo!) odbił się pewien dziadzio celując w otwierające się drzwi autobusu. Ja też chciałem do niego. Wewnątrz było jednak już mało miejsca, dzia-

dzio uderzył w czyjeś plecy i spadł na pierwszy stopień. Zdażyłem jeszcze przelecieć nad nim (wpływ ścieżki zdrowia) i grzmotnąłem w te same plecy, łapiąc je jednak błyskawicznie za szyję. Tamten zabarzczał, ale utrzymał. Tymczasem wdzierająca się za mną dama nie zdążyła już dziadzia przeskończyć. Rozdeptała go lekko, a za nią jeszcze kilku następujących szurmier pasażerów. Dziadzio uśmiechał jak przystało mężczyźnie, bez jęku. Twarde to pokolenie.

Byłem już wewnątrz autobusu. Obok jakichś dwie panie walczyły za jadło o miejsce przy oknie. Przy oknie są najlepsze widoki. Niestety trzeba było również wyrzucić jednego dzieciaka. Nogi wystawały mu przez drzwi, a wesoła się nie dawała. Matka dzieciaka widząc to zaczęła szalenie kopać pana stojącego obok niej. Pan uśmiechał się wyrozumiale. Żeby zrobić krok musiałby wykopać jeszcze ze dwadzieścia osób. Było to raczej niemożliwe.

Mozolnie sunąłem do kasowni. To pasażerski obowiązek. Niespodziewanie pośliznąłem się na ręce jednego z tych szczęśliwców, którzy ulokowali się pod fotelami. Mało brakowało, a znalazłbym się w tzw. autobusowym parterze. Stąd szpital bywa ewentualnością godną pazdrozschcenia. Na szczęście ustalem.

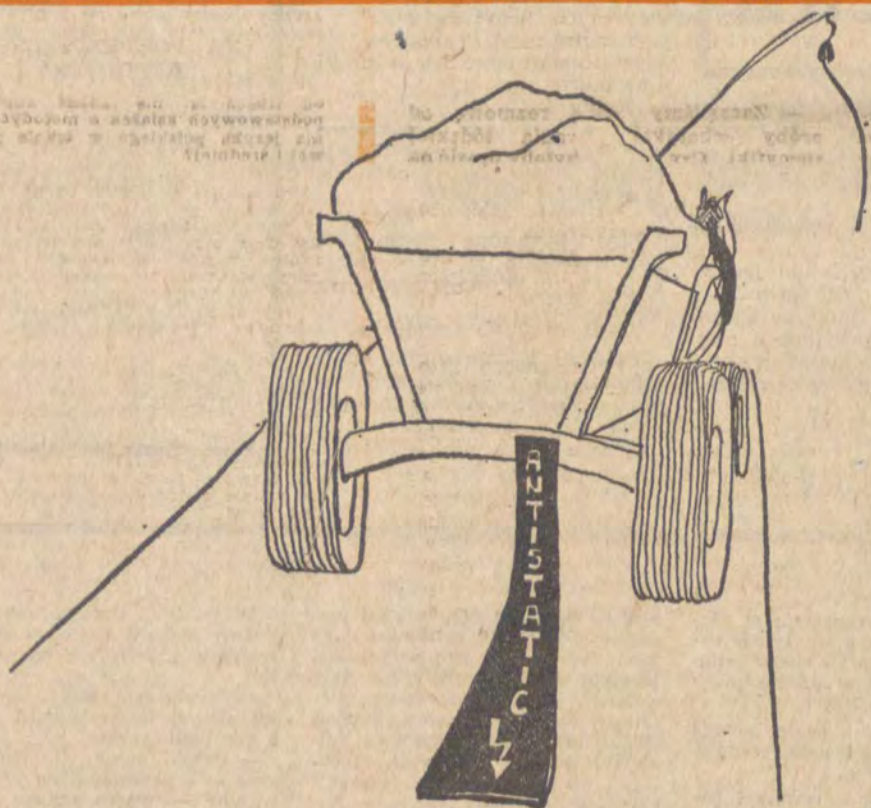
Na kasowniku wisiał utrudnione, niemniej ów człowiek usłusznie pozwalał przyciskać swoją głowę aby билет się przedziurkował.

Teraz należało przesuwać się do przodu. Nie było już wiele czasu. Za sześć przystanków wysiadalem. Zębami (trak nie dało się podnieść) naciągnąłem kapelusz na oczy facetowi (kwiacemu przede mną). Gość po rozpaczliwej szarpaninie wyswołał z tłoku rękę i podniósł do góry. Tylko na to czekałem. Błyskawicznie wsunąłem się w wolną przestrzeń. Teraz przed sobą miałem staruszkę. Na szczęście

była to dobra znajoma. Wysiadła przystanek wcześniej. Dzień dobry — krzyknęłam, a staruszka czym prędzej wypuła szczękły do turebki. Następnie sprężyła się cała i krzyknęła — Dawaj! Dalem jej klasycznego byka. Starsza pani przyjęła to dzielnie i z wyciągniętymi jak tylko można rękami z impetem runęła w tłum. Czekalem już przegotowany do następnego uderzenia... Ostatecznie jak zawsze precyzyjnie wysiadłem na swoim przystanku. Tylko gazetę podarł mi jakiś nerwus. Chciałem podsunąć żonie pasjonującą lekturę o jednym słoniu w Kuwejcie. Zabiło go. Biedak oszalał z samotności.

W domu żona rozplakała się na mój widok. Zrobić coś, znowu zabrudziłam sobie całe buty błotem — kwiliła bezradnie. Żona pracuje jakiegoś trzysta metrów od naszego bloku, ale chodnik nelen jest tu dziur, kałuż. Po prostu spartaczona robota. Ech, ci nasi drogowcy!

Przekł. E. U.



Rys. Adam Kuczyński

Mieczysław Michał Szargan

UKWIAŁY

Stróżę porządku — nie zasypiajcie na śmieciach!

Nie poszedł po rozum do głowy, bo musiałby przedtem pomyśleć, którędy tam dojdę.

Jego sądy są do rażące.

Po latach niewidzenia spotkałem znajomego karta. Nad podziw fizycznie się rozrósł. Bez większych trudności wgramolił się też na podrzędne stanowisko. Na pożegnanie syknął mi do ucha: „Niech no nabiorę więcej kości i ciała, a jeszcze o mnie usłyszycie!”

Ach jak cudnie na ementarzu pachną fiołki! I to jest pocieszające.

Tym którzy mają samochody wydaje się, że już są w niebie. O naiwni, nie wiedzą jeszcze, że muszą się zabić.

Z raportu: „Artystów możemy natychmiast rozpoznać: są nacechowani!”

Znam parę osób po jednym diable.

„Ja jestem słońcem!” — krzyczy w ubikacji żarówka — cierpiąca na kompleks niższości.

Są błędy, które wstydy się wymazywać nawet gumką.

WIELKA OBNIŻKA CEN

WE WSZYSTKICH SKLEPACH ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA HANDLU ODZIEŻA „OTEX”

KUPUJEMY OD 30 DO 80% TANIEJ

Przecena obejmuje branże —



ODZIEŻOWĄ, WŁÓKIENNICZĄ, OBUWNICZĄ, GALANTERYJNĄ

Oto niektóre adresy sklepów:

Dom Handlowy „Teofil” — Aleksandrowska 38, ul. Dąbrowskiego 93, Cieszkowskiego 4, 7, Wrześniańska 102, Obr. Stalingradu 22 i 24 oraz ul. Piotrkowska nr 28, 90, 87, 122

ZAPRASZAMY

218/K